

# BLUSZCZ

*Spółeciano-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy*

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 23 LUTEGO 1929 ROKU

NR. 8

TREŚĆ NUMERU: Prix fixe—*Z. Zaleska*. Rola kobiety w przyszłej wojnie chemicznej—*Zofja Brykalska*. Poezje: Egzotyki nieprawdopodobne: „Fata morgana“, „Karawana“, „Bazar“ — *Konstanty I. Gałczyński*. Od bieguna do bieguna — *Zofja Miszewska*. Skłamanie szczęście (c. d.) — *M. H. Szpyrkówna*. Wszystko się spełni—*Aleks. Maliszewski*. Samochodem na Riwierę — *J. Putiatycz-Surynowa*. Zawody międzynarodowe w Zakopanem—*M. Miłobędzka*. Z książek. Kobieta w świecie i w domu—*N. J. i Dr. M. Kasterska*. Polski styl — *M. Zawadzka*. Wartość odżywcza grzybów—*Feliks Teodorowicz*. Nowe ułatwienia w dziedzinie gospodarstwa domowego. Jadłospisy postne—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Modna biżuterja i to, co ją zastępuje — *Well*. Dodatek powieściowy: „Głos krwi“ — *R. Hichens*. Arkusz wzorów.

## PRIX FIXE

Czytamy w gazetach: „W ubiegłym miesiącu Niemcy zażądały 63.000 robotników polskich... Po wyczerpaniu tej pierwszej rejestracji, ma być przedstawione nowe zażądanie robotników naszych na maj i czerwiec“.

Zwykła coroczna sprawa. Co roku idą „na Saksy“ tysiące robotników i robotnic polskich do robót polnych. Społeczeństwo naogół — prócz stowarzyszeń specjalnych: Pol. T-wa Emigracyjnego i T-wa „Opieka Polska nad rodakami na obczyźnie“ — nie interesuje się ich dolą. Nie czyta też gazet polskich, wychodzących na obczyźnie, ani tych krajowych, które — jak „Wychodźca“ — zawierają wieści i informacje o ruchu emigracyjnym polskim. Trudno tego wymagać nawet. Ale też wobec takiego stanu rzeczy obowiązkiem prasy krajowej jest dawać od czasu do czasu ogólny choćby przegląd spraw emigracyjnych albo oświetlenie jakiejś poszczególniej strony.

W związku z nadchodzącym sezonem emigracji wiosennej koniecznym jest wskazać na dolę dziewcząt polskich na obczyźnie.

W roku zeszłym, w Nr. 49 „Wychodźca“ pisał: „W obecnym sezonie reemigracyjnym powróciło do 4 listopada włącznie z Niemiec przez Praszkę (Wieluńskie) 451 osób, w tem 150 kobiet w stanie odmiennym. Przez Sośnię do dn. 15 listopada powróciło z Niemiec 948 osób, w tem 798 kobiet, z czego 230 w ciąży. Wśród ciężarnych znajduje się około 50%—60% niezamężnych. Wiemy, oczywiście, jakie są dalsze następstwa takiego nieślubnego powiększenia rodziny: podrzucenia, zbrodnie, a w najlepszym razie nędza, straszliwa nędza matki i dziecka“.

Około początku grudnia pisma niemieckie podały kilkunastowerszową wiadomość o skazaniu przez sąd dzieciobójczyni — Józefy Mazur — ksiarki polskiej, od 1914 r. przebywającej w Niemczech, która zamordowała 2 swych synków: 9 i 7-letniego. Bliższe zbadanie sprawy przedstawiło ją w następującym świetle. Robotnicy sezonowi polscy są pomieszczeni na folwarkach, jak typowe „bydło robocze“ — razem mężczyźni i kobiety w jednych izbach. Rezultatem tego jest ów procent kobiet, powracających w stanie odmiennym. Józefę Mazur wstyd zatrzymał na stałe w Niemczech, tem więcej, że w kraju nie miała bliższej rodziny. Po pierwszym dziecku przyszło drugie, w parę lat potem trzecie, w roku zeszłym spodziewała się czwartego. Biedna matka, przez tyle lat pracująca na te swoje dzieciaki, dostała nagle przed samą zimą wypowiedzenie pracy z powodu ciąży. Zaczęła starać się o robotę w okolicy. Napróżno. A tymczasem oszczędności stopniały, „borgować“ w sklepikach już nie chcieli dłużej. Głód zajął w oczy. Groził jeszcze mróz długiej zimy. W tych dniach ostatnich znalazła wreszcie pracę, ale pod warunkiem, że tylko jedno dziecko wolno jej mieć przy sobie. Zaczęła więc znowu wędrowkę: do urzędu gminnego, do parafjalnego domu dla dzieci, do miasta do policji, byle tych dwóch chłopaczków starszych gdzieś umieścić. Odmówili jej zewsząd pomocy. Poszła więc zpowrotem z miasta przed świtem o 4-iej rano w ostatnią wędrowkę. Już bez nadziei, tylko z tą grozą śmierci ich wszystkich czworga w oczach. Do wsi przyszła sama. Nikt się o dzieci nie pytał. Ale po kilku dniach policja znalazła dwa trupy gdzieś

w haszczach przydrożnych. Głowinki miały strzaskane kamieniem.

Nie trzeba słów. Milczmy. Bóg tylko patrzył na mękę matki. Nie nam tu rezonować.

Mnie tylko jedno straszliwe pytanie ciśnie się na usta: Gdzie są współwinni? Jeśli jest sprawiedliwość na świecie, to jaką karę winni ponieść ojcowie tych dzieci? Matka poniosła konsekwencje: chroniła, pielęgnowała, karmiła, przeszła przez całe piekło, aż dusza się w niej obłąkała i złamała pod ciężarem. Dziś — ta „wyrodna matka“ jest zbrodniarką, pokutującą w więzieniu. Ojcowie — chodzą swobodnie, niezachwiani w swem sumieniu, bez piętna męki, wstydu, hańby i zbrodni.

O ilu takich obrazkach mówi kryminalistyka?

\* \* \*

A teraz wieści z Francji.

„Dworzec kolejowy w Lille, gdzie gromadzą się pozbawione wszelkiej opieki i rozrywek kulturalnych młode robotnice polskie, stał się giełdą, na której dokonywane są transakcje handlowe na młody i zdrowy towar kobiecy. Kręcą się tam wszelkiego rodzaju podejrzane indywidua i stręczą, namawiają, tumanią, a ostatecznie wywożą dziewczęta polskie do domów publicznych w Ameryce, Afryce poł. i Azji“. (Głos Wychodźcy“).

Do tego dodajmy informacje, wiadome już dziś całemu światu z raportu eksperta komisji V-ej Ligi Narodów — dra Snow. Gros „towaru“ handlu żywym towarem idzie... z Polski. Pod różnemi pozorami werbowane na emigrację, dziewczęta częstokroć jadą... wprost do domów publicznych. Co miesiąc przysyłani są 4 ajenci z Argentyny, Kuby, Meksyku, Brazylii. „Towar zielony“ stoi na tej okropnej giełdzie wysoko — 2.000 dolarów sztuka. Obrót — ogromny. Droga prowadzi na Gdańsk, Malborg, Berlin, Szczecin ze względu na przyłapywanie „zbyt często“ handlarzy i towaru przez policję polską w Zbąszynie. (Policja niemiecka gorzej orjentuje się w fałszywych wizach i fałszywych paszportach polskich).

Powołana specjalnie dla walki z handlem żywym towarem, polska policja kobieca liczy aż... 17 osób: 13 szeregowych, 3 sierżantki i komendantka. Brak odnośnej ustawy i szczupła ilość policjantek nie pozwalają rozwinąć akcji w odpowiednim tempie. Ujęci handlarze są wypuszczani za kaucją — wprawdzie poważną — dolarów 2.500, lecz dla tych „grosistów“ operujących ceną 2.000 dol. za sztukę towaru, jest ona tak małą, że każdy z nich uiszcza ją i — rzecz prosta — „wieje“ zagranicę, zostawiając na miejscu zastępcę.

\* \* \*

Oto ponure światło, oświetlające dolę naszych dziewcząt-emigrantek.

Swego czasu T-wo „Opieka Polska nad rodakami na obczyźnie“ powzięło w tej sprawie szereg

uchwał, które w dn. 3 lutego przyjął też zjazd misyj dworcowych i oddziałów komitetu walki z handlem żywym towarem, odbyty w Warszawie, w sali Państwowej Szkoły Higjeny. Uchwały te brzmią, jak następuje:

„Zjazd wzywa prezydjum Komitetu o zwrócenie się do rządu, by:

1) na emigrację kobiet samotnych do Francji pozwalał jedynie w tych wypadkach, w których odpowiednie warunki bytu i odpowiednia opieka moralna na miejscu pracy są dla nich zapewnione;

2) aby rekrutację pojedynczych robotnic do Francji wstrzymał całkowicie wobec niemożliwości rozmieszczenia ich w grupach pod opieką, chroniącą je przed moralnem niebezpieczeństwem;

3) aby rozszerzył sieć opiek polskich we Francji, a w szczególności aby utworzył jaknajrychlej placówkę opieki polskiej w Toul i przydzielił do opiek tych urzędniczki objazdowe dla badania na miejscu warunków bytu robotnic i niesienia im pomocy;

4) aby zbadał warunki mieszkaniowe robotnic polnych w Niemczech i nie dopuszczał do rekrutacji ich do majątków, w których warunki te są nieodpowiednie;

5) aby popierał organizowanie misyj portowych w krajach zamorskich, do których kierują się polscy emigranci;

6) by wprowadził opiekunki kobiet i dzieci w hotelach emigracyjnych, w których zatrzymują się emigranci polscy;

7) by wprowadził także opiekunki na statkach lub rozszerzył kompetencje sanitariuszek i żądał, by na każdym statku, przewożącym emigrantów polskich, znajdowała się sanitariuszka polska;

8) aby wprowadził do paszportów zagranicznych rubrykę o stanie cywilnym, w celu uniemożliwienia podawania się za nieżonatych;

9) aby wprowadził wspólne paszporty rodzinne dla rodzin emigrantów, w celu uniemożliwienia praktyk handlarzy żywym towarem;

10) aby wzmocnił kadry policji kobiecej w kraju.

W związku z temi uchwałami pisze „Goniec Nadwiślański“ z 2 lutego r. bież.:

„Czy tego rodzaju środki są właściwe i czy nie chybiają celu? Nie pozwolić wyjeżdżać, to znaczy — skazać te młode dziewczęta na nędzę w kraju, bo już ciż nie „dla wrażeń“ emigruje się na roboty sezonowe zagranicę. Te fale ludu naszego pcha tam brak zarobków w kraju, pcha bezrobocie i nędza. Gdy nie pozwoli się młodym robotnicom wyjeżdżać legalnie, będą usiłowały przebyć granicę potajemnie, a pomocników nie zabraknie. Tylko przez wytworzenie placówek pracy i dobrego zarobku w kraju z jednej strony, a tworzenie ognisk opieki polskiej we Francji i w Niemczech z drugiej — można do pewnego stopnia zapobiec jej smutnym następstwom“.

Uwaga słuszna, co do konieczności wytwarzania placówek pracy w kraju, ale nie zdaje się być słuszna, co do celowości zakazów. Gdańsk dawno już sprawę emigracji dziewcząt oddał w ręce Komitetu walki z handlem żywym towarem: zgłaszająca się po paszport zagraniczny, gdańszczanka zwracana jest do Komitetu po „opinję“. Komitet przeprowadza dochodzenie: gdzie, po co, pod czyją opieką i na jakie

warunki jedzie petentka, i dopiero na mocy opinii Komitetu paszport jest lub nie jest wydawany. Lepiej zakazać emigracji, niż patrzeć potem... na Józefę Mazur lub znosić fakt, że miano „polka“ w Argentynie jest obelgą (patrz: Lepeckiego — Wspomnienia z podróży).

Sprawa ta cała z natury swej jest sprawą, która nie pierwiej przestanie istnieć, aż kres jej położą same kobiety. Na całym świecie nikt nie zaczął protestować przeciw reglamentacji, handlowi żywym towarem i t. p., póki nie podjęły wielkiej akcji stowarzyszenia kobiece, mianowicie Rady Narodowe Kobiet w poszczególnych państwach. Prostyucja i alkohol — dwa hańbiące piętna na cywilizacji XX wieku — znikną dopiero wtedy, gdy masy kobiece, a nie — jak dotąd — jednostki, walczyć z nimi zaczną. Aby walczyć, trzeba znać zagadnienie, trzeba traktować je,

jak ciężką chorobę, poważnie i uczciwie. Poparcie Komitetu walki z handlem żywym towarem i T-wa Ochrony Kobiet w pierwszym rządzie, a dalej T-wa „Opieka Polska nad rodakami na obczyźnie“ i akcja zapobiegawcza między młodemi dziewczętami, ostrzeżenie — co je czeka w razie naiwnej wiary w „jedwabne życie“ w mieście czy zagranicą, współdziałanie z organizacjami społecznymi, zakładającymi warsztaty pracy, kursa zawodowe, prowadzącymi kluby i świetlice dla młodzieży — oto, co pomoże.

Każda kobieta musi przyłożyć ręki do dzieła wyzwolenia kobiet. Słusznie bowiem powiedział dr. Macko — autor dzieła, traktującego wszechstronnie zagadnienie prostytucji („Prostyucja“ — wydanie Pol. Komitetu walki z handlem żywym towarem) — na zjeździe w dn. 3 lutego, że „kobiety oswojodzić się muszą same“.

Z. Zaleska



ZOFJA BRYKALSKA

## ROLA KOBIETY W PRZYSZŁEJ WOJNIE CHEMICZNEJ

Ludzkość jest niepoprawna. Zaledwie przebrzmiały jęki konających na polach bitew, zaledwie pogoiły się rany, zadane rodzinom przez śmierć okrutną, choć bohaterską, zaledwie narody ocknęły się ze snu wojny światowej, snu, pełnego krwawych mar i okropnych widziadeł, i zaledwie ta straszna nędza, wojną spowodowana, zaczyna mijać... już po całym świecie czyni się przygotowania do nowej wojny, która — wierzymy — nie nastąpi prędko, może jej nie dożyje nawet współczesne pokolenie, ale która będzie kiedyś napewno. Bo ludzkość niepoprawna — nie umie wyciągać konsekwencyj z doświadczeń, jak to czyni jednostka. A ta wizja przyszłej wojny mrozi krew w żyłach. To już nie ma być walka, dająca pole do bohaterskich czynów: to ma być masowa zbrodnia, masowe trucie ludzi bez różnicy wieku i płci. Środki bojowe zupełnie inne, i duch wojny zupełnie odmienny. Gazy trujące. Aż trudno uwierzyć, aż dusza się wzdryga przed podobnem okrucieństwem! Truło się dotąd myszy, owady, a teraz narody przygotowują się do trucia siebie nawzajem. Po dwu tysiącach lat wszczepiania w ludzkie dusze idei Chrystusowej, wyrasta w tej duszy potwór, potwór z piekła rodem, poczęty w sercu Szatana.

I choć rzeczywiście trudno moralnie pogodzić się z tą myślą, to jednak, biorąc rzecz na rozum, trzeba się z tem już raz zgodzić, że *jeżeli wojna będzie, to nie inna, a chemiczna*. Już wojna ostatnia dała armjom walczącym dowód, że gazy trujące (czy duszące i parzące) są bronią skuteczną i łatwą. Dodajmy do tego, że bronią beznadziejnie tanią, a wtedy zgodzić się musimy, że tej właśnie broni w przyszłości używać się będzie. Nie innej. Bo czyż w wyborze broni możemy liczyć na sumienie jednostki? czy sumienie narodu? Kto widział krwawe szmaty ciał ludzkich, poszarpane, porozrywane pociskami, ten ludzić się nie może i ludzić mu się nie wolno.

Wojna sumienia nie zna!

Może mi ktoś zarzucić, że są przecież Ligi, konferencje rozbrojeniowe, traktaty... Piękny, zasługujący na uznanie najwyższe, wysiłek ludzi dobrej woli, bodaj, żeby wydał kiedyś plon i zapewnił powszechny pokój. Ale przy dzisiejszym stanie etyki międzynarodowej liczyć na to nie można po tak bolesnych doświadczeniach i de facto nikt, żadne państwo na to nie liczy. Wszelkie umowy i traktaty mają moc w czasach pokoju. Wojna je zrywa, bo wojna niszczy wszystko, co dobre i piękne. Niemcy w 1899 r. w Ha-

dze podpisały traktat, że gazów, jako środka bojowego, nie będą używać w przyszłej wojnie. W 1915 r. pierwsze ich używać zaczęły.

Streszczam powyższe:

1. jeżeli wojna będzie, to chemiczna;
2. wojna chemiczna jest najstraszniejszą w dziejach ludzkości;
3. wojna chemiczna zagraża, dzięki rozwojowi lotnictwa, bezpośrednio całej ludności cywilnej, a więc i starcom, kobietom, dzieciom, a nie tylko armjom.

Jakie stąd wnioski?

Otóż obowiązkiem każdego obywatela musi być uświadomienie, na czym używanie gazów polega, jakie jest ich działanie, jak się przed nimi bronić, t. j. jak się zachować przed, podczas i po ataku lotniczym. Jednostka nieświadomiona zginąć musi.

Zważywszy, że mężczyźni podczas wojny są bądź to powoływani pod broń, bądź też pracować muszą w instytucjach, państwu potrzebnych — o ich obronie pomyśli państwo. W domach pozostaną kobiety i dzieci. Państwo nie jest w stanie dać wszystkim obywatelom sprzęt ochronny, jak np. maski, raz ze względu na koszt, następnie sprzęt ten, ulegając zepsuciu, może w chwili decydującej okazać się bezużytecznym. Kobieta musi myśleć sama o obronie swego życia i życia swoich dzieci. Przedewszystkiem musi to zrozumieć, że tylko *uświadomiona* jednostka zachowa swe życie i że obrona rodziny w jej ręku spoczywać musi.

Uświadamianiem, czym jest wojna gazowa, zajmuje się państwo, szkoląc żołnierzy i pracowników rządowych; zajmuje się i Liga Obrony Powietrznej Państwa. Ale to uświadomienie dziwnie nie dociera do szerokiej masy społeczeństwa kobiecego, co jest niepokojące ze względu na odpowiedzialność roli, jaką kobieta w przyszłej wojnie spełnić musi i ze względu... że inne państwa są cokolwiek inaczej usposobione do zagadnienia (tysiące instruktorów!).

Aby tej ignorancji i lekceważeniu zapobiec, należy do tej sprawy podejść inaczej, ze strony nie po kobiecemu uczuciowej (uczucie strachu u strusia każe mu... nie patrzeć), a ściśle rozumowej. Ponieważ wszyscy się przygotowują, a Polska przygotowuje się również, i ponieważ rola kobiety może być decydującą w sprawie nawet ocalenia bytu narodu, więc należy od dziś, od zaraz wziąć się do zebrania odpowiednich wiadomości, aby poprostu „nauczyć się” środków obrony (głównie uszczelniania mieszkań), a i potrosze — ratownictwa. Każda z nas, kobiet polskich, musi sobie wyraźnie powiedzieć: potrzebne to jest

dla Polski, dla mnie i dla tego, co najwięcej w życiu kocham — dla mojej rodziny.

Gdy zdobędziemy wiadomości, gdy uzbroimy się niemi, jak żołnierz bagnietem, wówczas wojna przestanie być zmorą niepokojącą, nie zaskoczy nikogo, nie wywoła paniki, jaką zawsze wywołuje użycie nowej broni, a jaka może być wprost zgubna dla narodu. Świadomość istoty wojny chemicznej zapewni spokój i pewność w poczynaniach. A że nigdy nie zabraknie kobiet słabych i zdenerwowanych, które tylko ręce łamać potrafią, więc musi się znaleźć zastęp kobiet poważnie i spokojnie rzecz traktujących i spokojem swym, radą, pomocą podnoszących ducha ogółu. Takiego stanowiska oczekiwać będzie od nas historia, jak dotąd żądała bohaterskich czynów Emilji Plater, czy innych bohaterek.

Potrzebne wiadomości zaczerpnąć można z licznych broszur i książek, jakie spotykamy na rynku księgarskim. Najogólniejszą, obejmującą całokształt zagadnienia, jest książeczka por. Z. Marynowskiego: „Obrona przeciwchemiczna ludności cywilnej”. Prócz tego polecić mogę: kpt. Korolca „Chemiczne środki bojowe”; d-ra Lindemana: „Podstawy ratownictwa zatrutych gazami”; mjra Kędziora: „Zagadnienia obrony przeciwlotniczej państwa”.

Ponieważ istnieje już zrzeszenie odpowiednie, więc nikt nie jest zmuszony iść samopas, a każda z polek niechaj stanie się członkiem Ligi Obr. Pow. Państwa. Składka jest tak minimalna (50 gr. mies.), że każdy ją zapłacić może, a popierając Ligę, przyspieszamy chwilę, w której Polska dorówna sąsiadom w przygotowaniu środków obrony.

Tyle — co do obowiązków jednostki. Niemniej ważnem jest współdziałanie wszelkich stowarzyszeń kobiecych. Każde z nich, bez względu na charakter ideowy, powinno korzystać z dostępu do pewnej ilości kobiet i organizować dla swych członkiń odczyty lub wykłady. Powinno się prócz tego szkolić instruktorki i wysyłać je na prowincję. *Nie szerząc popłochu*, budzić poczucie odpowiedzialności i grozę skutków niekompetencji. Bo choć wojna nie grozi dziś, czy jutro, ale szatan nie śpi, a sam rozum dyktuje, aby nasze społeczeństwo nie było mniej do wojny przygotowane od społeczeństwa wrogów.

A strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Na zakończenie przytoczę słowa pplk. W. Jasińskiego: „Niema dziś wojska walczącego, a jest naród walczący... A więc — do uświadomienia, do zainteresowania się, organizowania, pracy i wynalazczości, a zachowamy swe życie osobiste w przyszłości, a przez to i Państwa!”.



KONSTANTY I. GALCZYŃSKI

## EGZOTYKI NIEPRAWDOPODOBNE

## FATA-MORGANA

Wszystkie smutki mijają,  
smutki wszystkie oddalmy;  
W dalekim srebrnym kraju  
rosną zielone palmy;

na szczytach palm papugi,  
jak gwiazdy, zmienione w ptaki,  
śpią — i papug sen długi  
rytm palm kolysze jednaki.

A pod palmami murzyni  
śpią, znużeni upalem,  
świeci słońce pustyni  
bolesne i takie male;

a w nocy niebo tych łądów  
wygląda jak partja szachów.  
I błądzą cienie wielbłądów,  
które odeszły na zachód.

## KARAWANA

Lata trzeba wędrować,  
lata trzeba się wlec;  
boli od słońca głowa,  
słońce pali, jak piec;

bolą od słońca skronie,  
serce od słońca boli,  
w ustach nam ślina płonie,  
ślina o smaku soli;

źródła nam uciekają,  
straszą nas palmy i cienie,  
oazy omijają,  
oaza — omamienie.

W dzień wszystko tylko mami.  
A w nocach świeci sinych  
księżyc nad pustyniami —  
jak czarny lew z platyny.

## B A Z A R

Oto kolory zgęstniałe —  
oto przystań kolorów.  
Gwiazdy śpiewają chwałę  
wieczoru.

Przekupnie wschodnich słodczy,  
jak w drzewie rzeźbione figury,  
gorące pieniądze liczą  
z okiem wzniesionem do góry.

I sennie jest na bazarze.  
I patrzą w błękit wieczoru  
ironją zmęczone twarze  
kinooperatorów.



ZOFJA MISZEWSKA

## OD BIEGUNA DO BIEGUNA

(Sigrid Unset)

Skala możliwości psychologicznych kobiety jest niesłychanie rozległa i sięga od brzegu do brzegu skomplikowanej duszy człowieka. To nie, że na jej obliczach — tych najdawniejszych i tych dzisiejszych — wyraźnie został zarysowany pragmatyzm dziejów, które ją taką a nie inną urobiły: jej wewnętrzny pęd siłą odśrodkową pogmatwał i zespolił elementy dawniejsze z dzisiejszemi, stwarzając, że „wieczna kobiecość” będzie zawsze sobą, czy to będzie kobieta — bez przesądów, czy też cnotliwa żona, matka i gospodyni. Taka czy inna kobieta zawsze będzie miała prawo bytu w każdej aktualności i nigdy nie stanie się typem przestarzałym, w stosunku do danego odcinka życia, czy literatury.

Typy kobiece w literaturze są jednak bardziej dostosowane do przeciętnych granic współczesności, aniżeli kobiety rzeczywiste. Tylko wielki talent może być odskocznią od sugestywności czasu teraźniejszego, tylko głęboka psychologja może objąć szerszy horyzont, aniżeli ten, który się sam nasuwa przed oczy.

Na jedno i na drugie zdobyła się właśnie tegoroczna laureatka Nobla, Sigrida Unset.

Sigrida Unset jest — obok dawno już zresztą znanej i podziwianej Selmy Lagerlöf i zawsze żywej i nowej Karin Michaelis, — trzecią kobietą — skandynawką, która poruszyła nie na żarty całą literacką Europę. Nie przypuszczam, aby postawienie jej obok Karin Michaelis było nonsensem, ze względu na zasadnicze „inności” obydwóch autorek: wierzę mocno, iż wielkie, przepaściste przeciwieństwa, albo się schodzą, albo się dopełniają nawzajem, a wtedy, szczególnie w tym drugim wypadku, trzeba jasno sobie uświadomić, na czym polega ten proces dopełniania się wzajemnego.

W tym wypadku chodzi mi przede wszystkim o tak zwaną „kwestję kobiecą”. Genjalność Karin Michaelis nie polega bynajmniej, jakby się mogło здаwać na pierwszy rzut oka, na odtwarzaniu typów kobiety współczesnej: jej wielki talent i subtelna wnikliwość pozwoliły jej pójść dalej poza teraźniejszość i stworzyć typ kobiety nowej, już nie walczącej i upadającej pod ciężarem walki z przesądami i postulatami opinji, ale tej przyszłej, stwarzającej nowe życie i nowe prawa w imię własnego szczęścia (Meta Trapp). Książki Karin Michaelis — to mocny i pewny rzut na przyszłość — to odrzucenie wszystkich dawnych myśli i przywilejów kobiecych, na korzyść nowego życia.

Sigrida Unset poszła we wręcz przeciwnym kierunku: wybitniejsze jej książki, jak „Jenny”, „Wiosna”, „Blas. czarodziejskiego zwierciadła” i wreszcie najpiękniejsza jej książka, p. t. — „Krystyna, córka Lawransa” — poruszają oczywiście zagadnienie kobiecego „być albo nie być” — ale, pomijając (za równo, jak utwory Karin Michaelis), kobietę dni dzisiejszych, cofają się w przeszłość, gdy kobieta, bez światoburczych marzeń, była dopełnieniem mężczyzny i istnieniem swem krążyła tylko koło centrum, które on jej wskazał.

Świat kobiety z książek Sigridy Unset nie jest rozszerzany aż po najdalsze granice horyzontu: przeciwnie, jest nim mały, maleńki krążek, któremu może być na imię *dom* lub *dzieci*, albo poprostu *obowiązek*. Jest on jednak rozległy na swój sposób, bo *wgłęb*.

Przy czytaniu choćby „Krystyny” — *zdumiewa* nas głębokie ujęcie zagadnień, które przeciętnie wydają się zwykle i maleńkie. Ta ważność rzeczy prostych u Sigridy Unset nie jest przypadkowa, ale wynika z początku wszystkich spraw świata, urządzonych i poukładanych ręką Boga. Bardzo głęboka religijność autorki wyciska swe piętno na jej ustosunkowaniu się do świata. Nie jest to nawet czysty chrystjanizm, ale już tylko katolicyzm, z całą swą nienaruszoną budową dogmatów i moralności. Nagroda i kara Boga — jak srogie przeznaczenie, — będzie ściagać winnych po przez pokolenia nawet i dlatego gorzko odpokutuje Ragnfryda, matka Krystyny, swą fałszywą postawę wobec męża i wobec miłości.

Samo zagadnienie miłości stawia autorkę pod kątem grzechu i ekspiacji. Dziecko jest stopniem podniesienia miłości o stopień wyżej, ku Idealowi — ale biada tej, która pójdzie do swej miłości drogą czyje goś cierpienia: drogą tą kazala autorka iść Krystynie, która w ten sposób, gromadzi w sobie winy dwóch pokoleń: matki i córki. Może ją jeszcze uratuje jakaś wielka moc, którą, kto wie, czy nie zaszczerpił w niej święty zakonnik, z którym tak często krzyżowały się drogi jej życia.

Samo przeniesienie akcji powieści „Krystyna”, w której autorka ześrodkowała wszystkie swe najważniejsze postulaty, w odległe średniowiecze, dowodzi, jak dalece dla Sigridy Unset nie istniał czas, w zagadnieniu budowy charakterów kobiecych. Średniowiecze Sigridy Unset jest raczej dekoracyjne, niż istotne. Dwa zasadnicze elementy tej epoki — mistycyzm religijny i typy lu-

dzi, — autorka może w każdej chwili przenieść we współczesność, twierdząc, że takie, a nie inne ma poglądy. Nie odczuwamy żadnego dysonansu, bo, jak zaznaczyłam wyżej, psychika kobieca rozciąga się do krańców wszelakich możliwości. Jedyne świetnie przestudjowany folklorizm skandynawski podnosi wartość „Krystyny“, jako powieści średniowiecznej. Pozatem jest to doskonała powieść psychologiczna, zdumiewająca nas odwagą przekonań autorki, która konsekwentnie i świadomie chce powrócić do dawnych poglądów na sprawę kobiecą. Zresztą, kto wie — pod wieloma względami może ma

i rację: trzeba by zestawić projekcję w przyszłość Karin Michaelis i konserwatywne idee Sigrid Unset, aby wyciągnąć z tego średnią arytmetyczną przyszłych poczynań. Narazie — to dwie drogi, to dwa bieguny, dwa krańce, które, kto wie, czy się nie schodzą w jakimś niebotycznym punkcie. To tylko można powiedzieć, że żaden z typów niewieścich tych dwóch autorek nie jest banalny ani przeciętny: kobiety zakrojone na wielką miarę i dlatego i Krystyna, i Meta Trapp, mają prawo bytu w kobiecej literaturze po wsze czasy. Każda jest swojego rodzaju żywą możliwością.



M. H. SZPYRKÓWNA

5)

## SKŁAMANE SZCZĘŚCIE

— Przecież i tak nie będziemy tu mieszkali, bo, oczywiście, w tych warunkach da się przetrwać tylko najkrótszy czas! Trudno, muszę załatwić interes. I zresztą, sprawa spadkowa z moją węgierską rezydencją jeszcze nie jest skończona. Po przeniesieniu się tam, trzeba będzie, oczywiście, nawiązać stosunki, porobić wizyty. Ale teraz byłoby to tylko niepotrzebną komplikacją, bo, oczywiście, w tych ruinach nie możemy przyjmować ludzi, a restaurować! Nie ma sensu. Tem samym trudno, żebyśmy bywali oficjalnie. Co innego — ja sam! To nie obowiązuje. Zresztą, bywałem tu na wielkich polowaniach u księcia Hohenloe jeszcze dawniej, znam dość ludzi, zapraszają mnie... Nie można zamurować się w domu, skoro się ma interes!

Jakie interesa miał de facto — nie mogłam dociec nigdy. Niecierpliwił się i rzucał ramionami.

— Moja droga, to naprawdę nie są kobiece sprawy! Zresztą o interesach mówię tylko z ludźmi, posiadającymi pieniądze, bo wtedy ostatecznie może to przynieść jakieś konkretne wyniki. Inaczej, wybaczysz, ale nie ma to sensu. Przytem, cokolwiek trzeba wiedzieć, wie Waclaw, o ileby coś się stało pod moją nieobecność. Ma doskonałą głowę. Już on sobie da radę!

Czułam łzy, napływające mi do oczu na takie postawienie sprawy.

— Ale ja nie chcę być zależną od Waclawa! Waclaw jest twoim kamerdynerem, a zachowuje się, jak margrabia! Niecierpię twego Waclawa! Dokucz

zresztą temu biedakowi Franciszkowi tak wstrętnie, że gdybym mogła, tobym... tobym...

Oczy barona przyjmowały znany mi, stalowy wyraz.

— Całe szczęście, w takim razie, że nie możesz. Jest doskonale wytrenowanym służącym i zresztą poprostu niezastąpiony. Że ten ramol Franciszek może go drażnić, wcale się nie dziwię. To był sławny pomysł twój i ciotki Gertrudy. Uważała, mam wrażenie, że jest to rodzaj posagu, jaki ci ofiarowuje. Bardzo praktyczny sposób, bo jej ujął kosztu, a nam przyczynił kłopotu. Ach, łzy! Mój Boże! Zapomniałem, że wyrosłaś w Białowieży, czy Nieświeżu. Tam istnieją jeszcze archaiczne drażliwości. Mam czasem sam ochotę kazać temu zręcznie, żeby sobie poszedł precz!

Łzy mi obeschły nagle w płomieniu gniewu. Tak?! To tak?!

— Naprawdę? Tak masz ochotę?! A gdybym ja kazała pewnego pięknego dnia nawzajem pójść precz twemu idealnemu Waclawowi, co wtedy? Jest dla mnie impertynencki, niegrzeczny, ledwie raczy spełniać, o co proszę! I ty jeszcze mówisz, i ty jeszcze uważasz... I ty!

Baron z pewnem zainteresowaniem przyglądał się memu uniesieniu. Poczem strząsnął popiół z cygara i powiedział z właściwym sobie uśmiechem:

— Gdybyś kazała... toby poprostu nie usłuchał. Jest moim służącym. I dobrze o tem wie. A jabym.. nie potwierdził twego rozkazu. Et voilà!

I oczy mi zapuchały od gorzkich, niemocnych, dzieciennych łez.

Nawet w nieszczęściu, dla jednych życie bywa bardziej łaskawe, dla innych — mniej. O zawodach przeznaczonych dla danego człowieka, uprzedza go różnie: przez przecucie, analogje, przykłady, ostrzeżenia. Czasem — nie uprzedza wogóle, i wówczas jest podobno najokrutniejsze. Nie wiem. Wątpię. Cios da się nieraz znieść łatwiej, niż szereg codziennych ukłuć. Są cierpienia piękne nawet w swem okrucieństwie: są okrucieństwa, które sprawiając cierpienie, nie mają w sobie nic z piękna. Conajwyżej, mogą budzić politowanie. I do tej najmniej awantażownej kategorii należałam ja.

Prawda. Sama sobie byłam winna — jeżeli nazwać zresztą można winą tęsknotę do przygody ze strony dziewczynki, napiętnowanej gorącym krwią włoskiej, a skazanej na cichutkie, zamknięte życie na kresowej leśniczówce na północy. Marzyłam o złotej, niespodzianej przygodzie — i stało mi się zadość! Niewątpliwie, myśl obdarzona intensywnością — wtedy staje się już pragnieniem — nosi sama w sobie zaczątki przyszłego urzeczywistnienia. Grawituje ku spełnieniu, ucieleśnieniu, zejściu w czyn. I po miesiącach czy latach — nieraz nie prędzej aż w innem, następnem istnieniu — jednak się ziścić musi! Dlatego tak ważne jest, czego pragniemy: dlatego tak ważne jest, czego pragnąć nie powinniśmy, aby się w pewnej chwili, niespodziewanie dla nas samych, nie stało straszną rzeczywistością, nieubłaganą konsekwencją naszego zapomnianego już, lub chwilowego pragnienia! Nie znamy tajemniczych praw, rządzących światem niewidzialnym, w którym żyją nasze myśli: czasem, zrzadka, dane nam jest tylko podpatrzyć jego ułamki... dość potężne, aby zdruzgotały nasze widzialne zamiary i urządzenia. Ach, jakże matematycznie ściśle los mi podawał wszystko, czegokolwiek pragnęłam. ba! o czym nawet głośno marzyć nie śmiałam! I rzecz szczególna! Formalnie czyniąc mi jakgdyby zadość, dawał im jednocześnie taką treść, że czułam ostrze i gorycz tam, gdzie czekałam przepychu i dośytu. Czyż z ubogiej leśniczówki nie zostałam nagle, jak Sandrillonka w bajce, przeniesiona do wspaniałego pałacu ciotki? A jednak pamiętam swoją małą, skuloną w czarnej sukience figurkę na tle wspaniałych jej salonów z antykami w pokrowcach, tak przypominających pomniki! Figurkę tyle daleką od domniemanych wspaniałości, ile rezydentka na pograniczu wychowanki, a panny służącej, jest daleka od zaklętej księżniczki, jaką sądziłam, że zostanę. Żyłam zapomniana, zaledwie tolerowana przez ochmistrzynię ciotki, zaledwie poznawana przez nią samą. I gdyby nie kuzynka Lorcja, którą zachwyciły moje niefarbowanej złości włosy i sielskie-anielskie oczy, mogłabym uschnąć między mopsami i papugami ciotki Gertrudy, a niktby nie wiedział, że jestem jej najrodzniejszą siostrzenicą. Byłam napię-

nowana mezaljansem matki z jakimś włoskim aktorką — nie inaczej nazywała to ciotka. Nie znałam ojca. Miałam zaledwie trzy lata, kiedy umarła i mama. Ale z opowiadań moich starsuszków, u których umarła na leśniczówce, wyniosłam o miłości moich rodziców jakgdyby niejasną legendę, jak świetlisty obłok, którą kochałam nad wyraz. Że mama, z dobrobytu i ba! nawet snobizmu, jaki otaczał, sądząc z pałacu ciotki Gertrudy, jej życie, umiała jednak wyrwać się na skrzydłach porywu poza mur graniczny swojej sfery i wyjść za aktora-włocha, bez błogosławieństwa rodziców, nad czym całe krótkie swoje życie cierpiała, sądząc ze słów babuni: za to miałam dla niej tylko podziw i — jeśli wyznać można — zazdrość. Ach! Mieć w życiu taką wielką, wspaniałą, tragiczną, ale porywającą, jak potężny wichur, miłość! Ach, przeżyć ją raz, jeden tylko raz! Ucieczka z domu, potajemny ślub, przedtem widzenia się w najgłębszym sekrecie — wszystko to czarowało moją wyobraźnię niewypowiedzianie! Że potem była tak krótko i tak połowicznie szczęśliwa, że ojciec umarł tak nagle, że sama ze mną małą musiała szukać przytułku aż tu, w ubogiej leśniczówce, bo bogaci i bliscy jej się wyrzekli i nawet wiedzieć o nas obydwuch nie chcieli: to wszystko jej chętnie wybaczałam, bo — czyż na leśniczówce było mi źle? Starsuszków kochałam, jak rodziców, mimo że tylko babunia była daleką krewną mamy: ale zajęli się nią oboje, jak najbliższą, a ja czyż nie byłam ich Hanečką? Pocieszką i szczebiotką, jak mnie zawsze nazywał starsuszek? Czyż znałam inne, miłsze życie, niż to nasze wśród moich gołębi i królików, i czyż widziałam szersze światy, niż te, które się rozciągały z ganecku na pograniczu puszczy, ku wieżycy kościoła opodal i ciemnym pierścieniom lasu ze wszystkich stron? I czyż nie byli przy mnie wszyscy najukochańsi: starsuszkowie, ksiądz proboszcz i — Janek, pierwszy bohater moich przekornych, rozstrzęsionych lokami, marzących o wielkiej przygodzie piętnastu lat, które zamknęły złote od słońca i błękitne niebem moje dzieciństwo?

A jednak!

Coś nienazwanego i niewidzialnego, jakiś ferment, zamknięty w krwi z pod gorącego nieba Włoch, coś, czego nie uświadamiałam sobie nawet sama tyle, co uświadamiali inni: kazał mi marzyć o przygodzie i wylatywać myślą poza pierścień puszczy, która zamykała przedemną świat. Ileż razy my, dzieci — Janek zaledwie o trzy lata odemnie był starszy, a ja miałam piętnaście w dniu opuszczenia leśniczówki — ileż razy mówiliśmy o tym nieznanym świecie za puszcza! Nie wiem czemu, szczególnie przykuwało mnie słońce i czerwona droga, którą blask jego siał poprzez porębę od leśniczówki w puszcza — droga naszych wieczornych spacerów razem.

— Jeżeli iść tą drogą, przed siebie, wciąż przed siebie: wiesz, Janku? możeby się doszło do Pary-



za?... — marzyłam, idąc z pękiem paproci, które uwielbiałam i którymi ubierałam ściany mego bielnego wapnem pokoićku na górze. — Przecież zawsze się mówi, że Paryż jest na zachodzie? Prawda?

— Tak się mówi, ale iśćby trzeba zupełnie inaczej! — oponował wykształcony na lekturze podróżniczej Janek. — I zresztą, ktoby dziś szedł pieszo! Za długo. Ja, żebym podróżował, tobym chciał lecieć aeroplanem. Ja, żebym mógł, tobym już wogóle nie jechał do Paryża. Cóż Paryż! Phi!

— Och, Janku! Przecież w Paryżu jest wszystko! I cudowne sklepy, i gmachy, i bogactwa, i najslawniejsze piękności, i Buloński lasek! Pamiętasz, jakieśmy czytali? Boże! Ze wszystkiego na świecie najwięcejbym chciała być chociaż przez jeden jedyny dzień w Paryżu! Nie, przez jeden, to zamało! Przez dwa... przez tydzień! Już wtedy możnaby pamiętać przez całe życie wszystko cudowne, co się zobaczyło tam!

Janek śmigał szpicrutą, którą zawsze nosił z sobą na spacerze, po trawach pobok drogi, i krzywił ładnie usta uśmieszkiem, zapatrzony wprost w zachodzącą tarczę słońca zmrużonymi oczami. O, jak musiał pogardzać moją małością, w zalotnych fartuszkach z ramiączkami, jakimi ozdabiałam swoje perkalowe sukienki! Niedarmo nasza Marcinowa mówiła, patrząc za mną z lubością, kiedy wkładałam nowo uprasowany:

— Nasza Hanka w tychto skrzydełkach wygląda, jak aniołek w kościele! Co za dziw, że chłopaki jej się odpatrzeć nie mogą? Albo to drugą taką znaleźć choćby i w dyrektorskim pałacu? O wa!

Dyrektorski pałac, stanowiący jakgdyby ziemię obiecaną miasteczka i jego sąd ostateczny, był rodzajem najwyższego dyplomu uznania w oczach Marcinowej, a i wielu innych. Co do Janka, udawał, że takich apostrof nie słyszy. Słyszał jednak doskonale i, co gorsza, wiedziałam, że się w gruncie z nimi solidaryzuje — jeżeli nie w formie, to w treści. Nie byłabym córką Ewy, żebym nawet w moje piętnaście białowieskich wiosen nie czuła jednak, że zarówno fartuszki z ramiączkami — raz niebieskie w paski, raz — różowe w kratkę, jak i przerzucane finezyjnie przez ramiona warkocze à la Gretchen, z zupełną pogardą mody: że to wszystko niepokoiło w zadowalniającym moją ambicję stopniu pięknego naszego Dewajtisa. W szkole Janek otrzymał tę nazwę jeszcze dawniej, ale dopiero gdy zaczął dorastać, okazała się na nim cała jej słusność. Tak! Był skryty, dumny i szlachetny; był zresztą pięknym chłopcem ze swemi sokołemi brwiami nad ciemnym szafirem nieśmiały

i gorących oczu i z pierwszym puchem, przyciemniającym śliczne usta. Świetnie strzelał, i dziadziś nieraz zabierał go ze sobą po sąsiedzku na polowanie do puszczy, dokąd ich kawałek odprowadzałam za zwyczaj porębą. I zawsze myślałam, patrząc na mego kochanego staruszka, takiego dziarskiego i portretowego w siwej konfederatce i węgierce z szamerowanym przodem: że obaj są najpiękniejsi na świecie! I że, gdybym wyszła kiedy zamaż, to tylko za takiego, jak dziadziś, albo ktoś, ktoby był do niego bardzo, bardzo podobny! I kiedy ksiądz proboszcz żartował przy kartach, że Janek zabardzo jest podobny do dziadziusia, jak na sąsiada, i że pani Stankiewiczowa (to matka Janka) musiała się kiedyś chyba zapatrzeć: pieklam, niewiedzieć czemu, raka i uciekałam pod bzy, które oskubywałam długo, formułując niejasne myśli. Ach, zbyt często zresztą słyszałam w miasteczku i w domu aluzje na temat, że się pewno z Jankiem pobierzemy, abym nie myślała o tem czasem i sama! Ale było to jakieś dalekie, nie-realne. I dopiero w ostatni wieczór przed wyjazdem moim do miasta, na starym cmentarzyku — zaręczyliśmy się uroczystym pocałunkiem, który — który sprzedałam za Judaszowe srebrniki złemu, miejskiemu blichtrowi! Czyż Janek w jego samodziśowej kurtek i długich butach mógł już później znaleźć sobie miejsce w moim nowym świecie, chodzącym na sztucznie podwyższonych obcasach, inkrustowanych sztucznymi brylantami, i gdzie wszystko naogół, od kamieni do uczuć, było sztuczne? Pamiętałam tak krwawo jego jedyne zjawienie się na moje imieniny, w środku rautu u ciotki, w saloniku gdzie osobno przyjmowałam czekoladą i petit - fourami moje koleżanki z kompletu francuskiego. Wtedy nagle i odrązu zauważyłam wszystko: i czerwone, nieporadne ręce, i wytartą kurtkę, i samodziśowe spodnie, i buty, które wbijały się w posadzkę gwoźdźkami obcasów...

Był ładny, ładniejszy niż kiedykolwiek. Te oczy, posępne i już zbuntowane mojem odszczepieństwem, ta pobladła twarz która niewiadomo czem grozi, ta chmura brwi nad błyskawicą spojrzenia... O, był bardzo piękny... Ale pięknem nastroszonego sępa w klatce kolibrów.

Powinłam była wiedzieć, że tak postąpić z Jankiem, jak postąpiłam wtedy, nie można było bezkarnie. I mówiąc okrutne, pobieżne słowa, które o nim do obecnych mówiłam — że jestto och! poprostu syn rządcy naszego majątku, który przybywa ze wsi z jakimś poleceniem!... czułam, że popelniam coś na śmierć straszego, coś nieodwołalnego, jak los. Wiedział. Odczuł, chociaż nie mógł słyszeć — i nie działał go więcej.



ALEKS. MALISZEWSKI

## WSZYSTKO SIĘ SPEŁNI

Ramiona semaforów wyprostowały się w poprzek toru i przecięły siny blask biegnących w dalekość szyn.

Glińskiemu zdawało się, że niema nic poza granicą tych ramion. Ale to był tylko pozór.

Tak. Wiedział przecież dokładnie:—pociąg odepdzie punktualnie dwudziesta minut pięć. Śmieszne jest, kiedy wierzy się pozorom.

Wierzył.

Wolno podszedł do okienka kasy i położył przed zaspanymi oczami kasjera ostatni banknot.

— Dokąd?

— Dokąd? dokąd? — Wszystko jedno, dokąd. Muszę pojechać daleko — rozumie pan? Jak najdalej. Muszę uciekać...

Zaspane oczy błysnęły podejrzliwie. Wolno — bardzo wolno (jakby umyślnie chciał opóźnić jego wyjazd) stemplował bilet, wydawał resztę, obliczał długo z zasuniętymi powiekami.

Józef Gliński czekał.

W poczekalni ktoś kasłał długo i głośno. Miarowo cykały kroki policjanta tam i z powrotem — tam i z powrotem.

Wreszcie stanął Gliński przed drzwiami wagonu.

Ramiona semaforów wyprostowały się w poprzek toru i przecięły siny błysk biegnących w dalekość szyn.

— I cóż z tego? Pojadę!

W tej chwili wyraźnie ktoś wyszeptał jego imię. Gliński drgnął i obejrzał się — nie było nikogo.

Wtedy zrozumiał, że uciekać musi wciąż jeszcze, wciąż dalej — niewiadomo, dokąd, że musi wciąż jeszcze witać te same szare dworce, wszędzie jednakowe stoły w poczekalniach, zawsze tak samo patrzące nań oczy: obojętne, nijakie.

— Świat jest jak małe podwórko. Podwórko to ma jedną tylko bramę. Przez nią się wchodzi i wychodzi.

I rozumiał Gliński, że wyjść z tego podwórka jest dla niego niemożliwością. Brama zamknięta. Trzeba się kręcić w kółko i w kółko i wciąż będzie tak samo — i znów przyjdą te same zdarzenia i znów...

— Nie! — krzyknął. — Nie przyjdą! ucieknę!

I nagle pod semaforem błysnął czerwony krążek światła.

Wolno — majestatycznie, z rytmicznym stukotem kół — pociąg odpływał od stacji coraz dalej i da-

lej, malał i kurczył się, i po chwili Gliński widział tylko niewielką, czarną kropkę, która rozplywała się w granacie nocy, zacierała się, niknęła.

Wtedy, w miarę oddalania się pociągu — coraz bardziej podsuwały się do Glińskiego dni, które się już stały.

Napierała nań fala wydarzeń, fala, która od tylu już lat goniła go od stacji do stacji, od portu do portu, od miasta do miasta.

Wiedział, że oto za chwilę znów zacznie myśleć o budowaniu w sobie tego, co pragnął dla siebie zniszczyć, unicestwić.

I znów powstanie projekt „miłości tworzącej“ i będą się śmiały oczy do jutra, które będzie, bo musi być, lepsze, i znów, naprzekór wszystkiemu, pewnego poranka z rąk listonosza odbierze list:

„Muszę od ciebie odejść, ale nie martw się.

Widocznie nie jestem tą, której szukasz.

Wszystko się spełni. Trzeba wierzyć — zegnaj.

Alicja“ ...

Właśnie przed tem, co spełnić się może, pragnął raz nazawsze uciec, zabić w sobie rozchętą, głupią żalność, zgubić siebie dla siebie — uciekał.

Cicho było na peronie.

Zdawało się, że nawet zegar zasnął i żaden już pociąg nie odepdzie.

Gliński pędem rzucił się naprzód.

Mijał zwrotnice, szlabany, budki dróżnicze, słupy — biegł szybko, coraz prędzej — coraz prędzej, a kiedy już tchu mu brakło, wtedy jedna myśl: „zostałem!“ dodawała mocy jego mięśniom—biegł długo, aż nogi zaplątały się i z całym rozpędem grzmotnął czołem o szyny.

Noc była ciemna — godziny nadpływały i odpływały, jak okręty.

Daleko — wyprostowane ramiona semaforów w poprzek przecięły siny blask wstającego dnia.

Cicho było na polach.

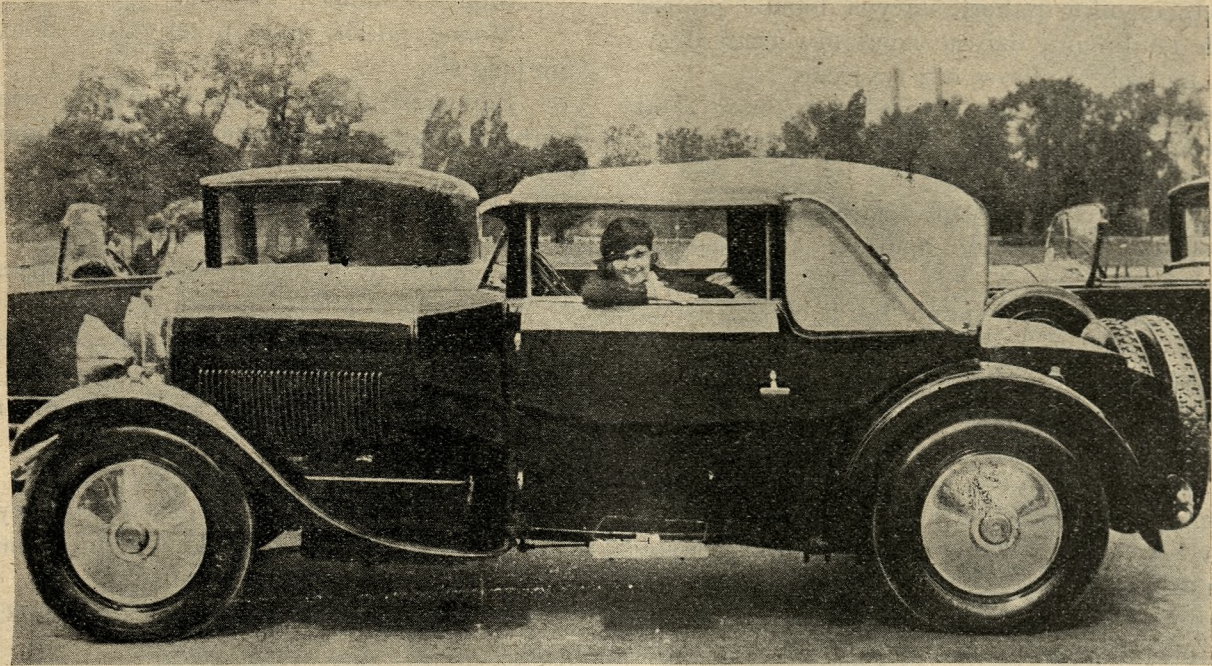
Tylko druty telegraficzne mamrotały długie, monotonne litanje.

— „Za tych, którzy nie mogą odjechać...“

— „Za tych, którzy nie mogą odjechać...“

— „Za tych, którzy...“





J. PUTIATYCZ SURYNOWA

## SAMOCHODEM NA RIVIERĘ

*Marzenia samochodowe. 70 klm. na godzinę. O Promancji i o olimpkach. Marsylja. Kto to jest „Baśka”? Ulice i uliczki. Trochę o fantazji architektów francuskich. „Boeuf á la Mode”. O morzu i o... balji. Wizja przeszłości. Co pisze Montfort. Kto kogo oszukał? Na łądzie i morzu. Chateau d'If i jego dramaty. Natchnienie Dumasowskie. „Bouillabaisse”. Pożegnanie.*

### I.

Nie umiem szoferować i... jestem z tego bardzo zadowolona. Nie potrzebuję rozwijać dużej mapy i patrzeć na siateczkę francuskich szos, dróg i drózek! Nie potrzebuję myśleć o kierownicy, o przepisach jazdy, o własnym i cudzym bezpieczeństwie, o tem, czy dosyć mamy benzyny, o tem, że trzeba już latarnie zapalić, o tem... i t. d. i t. d.

Mogę natomiast myśleć, o czem mi się podoba, mogę patrzeć, na co mi się podoba, mogę siedzieć wygodnie na poduszkach, pokrytych szarym zamszem, mogę nawet... marzyć.

Jadę więc i marzę.

Zawsze się, oczywiście, marzy o tem, czego się nie ma, i wskutek tego, zapewne, ciotka moja przestrzegala mnie praktycznie, bym unikała marzeń, bo są „niezdrowe i psują charakter”.

Na szczęście — moje marzenia są „zdrowe”, gdyż niedługo mają się spełnić. Marzę... o „niebieskim brzegu”. Przez ostatnie dwa miesiące deszcze i mgły paryskie przenikały mnie zimnem i melancholją, śniłam więc tak o ciepłe i słońcu, jak się marzy na zimnie i wietrze o zacisznym kąciuku w salonie (za parawanem, koło kominka, w cieniu lampy, osłoniętej abażurem). Dla mnie Riviera miała być tym kąciukiem

zacisznym, osłoniętym od wiatrów parawanem... Alpejskim w rozkosznym rozleniwieniu... słońca, przesianego przez abażury... palmowych wachlarzy.

Bardzo szybko jedziemy.

Ciekawie przechylałam się, chcąc zobaczyć szybkościomierz i konstatuję, że robimy 70 kilometrów na godzinę.

70 kilometrów na godzinę — to znaczy, że Promancja migoce za szybą samochodową, tak jak w kalejdoskopie. Maszyna nasza, pędząc, nie wzbija tułanów kurzu (jak to ma miejsce na naszych drogach kujawsko-kielecko-małopolskich) i nie przesłania czystości i przezroczystości powietrza i piękna widzianych obrazów.

Jedziemy od kilku godzin doliną Rodanu. Zmienia się stopniowo charakter kraju i roślinności. Zawiewa południem.

Pierwsze winnice, rozciągnięte na wzgórzach, witamy radośnie.

Małe miasteczko prowansalskie. Krótki postój. Wsiadamy.

Kupujemy biały „mousquat” i czarne, słodkie grona „malagi” i dowiadujemy się, że jesteśmy w bourg'u, t. j. we wsi starej, ciekawej, pełnej wąskich, spadzistych uliczek, małych placyków, służą-

cych do odpoczynku (palier), starych domów, poprzerzynanych rzadkimi, dziwacznymi otworami drzwi i okien, i małych zaułków bez wyjścia.

W jednym z tych zaułków pokazują nam „Maison de Sainte Roseline“.

Wracamy do auta.

Chwila... i średniowieczne miasteczko ginie nam z przed oczu w liljowych oparach zapadającego zmroku.

Za szybami przesuwają się fantastyczne zarysy zamków prowansalskich na wysokich skałach, ruiny wieżyc, fortyfikacyj i wałów obronnych. Szarzeją gaje oliwne na tle różowego zachodu.

Gaje oliwne... Jakże je sobie inaczej wyobrażałam! W mojej fantazji oliwki miały mieć liście lśniące, jak liście laurów, a kwiaty — cudownie różowe!! W rzeczywistości drzewa oliwne przypominają nasze szare wierzby.

W szarym mroku, szaro za oknami od gajów oliwnych, bo po pierwsze niema podobno wieśniaka, któryby chciał jeść oliwę nie ze swoich drzew i nie przez siebie sfabrykowaną, i po drugie, bo oliwa prowansalska — to... to — *oliwa prowansalska!!*

Wkońcu tak szaro, że nic już rozróżnić za oknami nie można — wyrastają za szybami duże, czarne ściany nocy. Przed nami lśni równa szosa, oświetlona silnie reflektorem naszego samochodu.

Jedziemy...

Mijamy zakręty i przecznice. Ukazują się nam od czasu do czasu inne lśniące oczy latarniane, rosną, mijają..

Niebo czerwienieje od łuny wielkiego miasta. Zbliżamy się do Marsylji.

Ukazują się setki, tysiące świateł.

Ruch na drodze rośnie. Wpadamy w źle oświetlone uliczki przedmieść. Wkońcu na gwarne, rojne ulice śródmieścia. Samochód nasz zwalnia tempo. Marsylja.

Co za ruch! Ile światła! Restauracje. Kawiarnie. Tłumy. Dalszy ciąg Paryża. Ale nie — to nie Paryż. Jest ciepło, mimo nocy, i tłum inny, zupełnie inny!

Ale narazie nie widzę tego. Nie chce mi się patrzeć, nie chce mi się obserwować.

Chce mi się jeść! Chce mi się — unyc!! Chce mi się spać!!!

Zajeżdżamy więc do hotelu St. Marie. Dostajemy pokoje o ogromnych francuskich łóżkach. Obstawiamy wannę i „repas“ (posiłek) do pokoju i... w godzinę później zasypiamy, mimo wczesnej pory i huku wielkiego miasta, wdzierającego się przez otwarte żaluzje do naszych „numerów hotelowych“.

\* \* \*

Słońce... słońce... słońce...

Słońce jakieś inne, przepyszne, złote, radosne, śmiejące się.

Powietrze lekkie, czyste, niosące wiew niewidzianego jeszcze, zasłoniętego murami domów — morza.

„Brioche“ (rogaliki z francuskiego ciasta) dali na śniadanie wyborne.

Siedzimy w głębokim cieniu kawiarnianej, złotej w czerwone pasy, „markizy“. Humory nadzwyczajne. Nawet „Baška“ lśni i błyszczy zachwycająco.

— Kto to „Baška“? — zapytacie, piękne czytelniczki.

— „Baška“ — to „Chrysler“, długi, smukły, lśniący w tej chwili niklami, czysto wymyty, po długiej drodze z Avignonu i kokieteryjnie uśmiechnięty w słońcu Marsylskiej ulicy.

Wsiadamy. Szyby samochodowe, oczywiście, spuszczone.

Ruszamy, skręcając na piękną ulicę Cannébiere. Na Cannébiere, najruchliwszą z ulic, spadziśta, z wyłotem na płat szafirowego morza. Na Cannébiere, o której zakochany w niej marsyleczyk — powiada:

— Gdyby Paryż miał Cannébiere, no... to byłby małą Marsylją...

Niech żyje zaślepienie lokalnego patryjotyzmu!

Więc Cannébiere! Co za ciekawa niezwykłość ulicy, polegająca na barwności tłumu, reklam i pasiastych markiz, rozwieszonych nad wystawami bogatych magazynów (filij firm paryskich), nad stolikami kawiarni i restauracyj i nad głowami tych, którzy jadą w... dorożkach konnych.

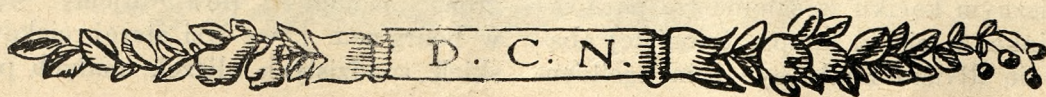
Wogóle — dorożki! Naprawdę dorożki!!

Od roku nie widziałam tego wehikułu. Bo Paryż ma samochody, miliony samochodów. Dorożka zaś stała się muzealnym zabytkiem. (Kursuje sobie taka jedna w Lasku Bulońskim, pomalowana na zielono, z siwym stangretem w popielatym cylindrze na koźle i budzi uśmiech. Uśmiech pełen życzliwej pobłażliwości, jaki się miewa dla kochanej, starej, zdziecinniałej... babuni).

Więc dorożki, „człapiące“ pomalutku na ulicy Marsylskiej, są rzeczywiście czemś niezwykle, tembardziej, że są osłonięte czemś w rodzaju baldachimu, czy też parasola z frendzelką (koniecznie), lub chwastami!

Jedziemy ulicą Cannébiere w górę!

Mijamy skwer giełdy. Naturalnie, handlowa Marsylja bez tego obejść się nie może. Nieodzowna, klasyczna kolumnada i... pierwsze palmy nad perskim dywanem kwietników. Palmy... niezastąpione pod względem dekoracyjnego przepychu, drzewo.





Grupa uczestniczek biegu pań—przed startem na Gubałówce

Photo Plat

M. MIŁOBĘDZKA

## ZAWODY MIĘDZYNARODOWE W ZAKOPANEM

Mistrzostwa Europy w Zakopanem już są poza nami. Cały świat sportowy, a z nim i całe społeczeństwo polskie śledziło z wielkim zainteresowaniem przebieg międzynarodowych zawodów narciarskich, pierwszy raz rozgrywanych na naszym terenie. To też Tatry ustroiły się na przyjęcie zagranicznych gości w piękną śnieżną szatę; nieskalana biel wierzchołków i szczytów Tatrzańskich, ozłocona słońcem, czarowała oczy przybyszów i wprawiała ich w nieklamany zachwyt. Zakopane też nie zostało w tyle: — ustrojone w barwne flagi 16-tu narodów, udekorowane artystycznie chojną, razem z przepysznie ubranymi góralami i świetnymi wystawami wyrobów miejscowych — uderzało barwnością i niepowszednim wyglądem. Mała ongiś podgórska wioska, w czasie tych wielkich sportowych dni miała wygląd zupełnie europejski: szalony gwar i ruch uliczny, przepelnione kawiarnie i restauracje, co krok grupa cudzoziemców, wyróżniająca się mową, strojem, wyglądem. Pogoda, zwykle dość kapryśna i niepewna w naszym kraju, również świetnie dopisała. Słońce nie kryło się

zazdrośnie za chmury, a słońce swe promienie obficie na ziemię, grzejąc zmarzniętych zawodników i opalając ich twarze na brąz; mróz też się zawziął i halnego nie dopuścił, — nawet troszeczkę przeholował, bo utrzymując się ciągle około 30°, ziębił nietylko zawodników i zawodniczki, co zebranych widzów, podziwiających przez parę godzin na mrozie sławy i asy narciarskie. Na śnieg również narzekać nie można było — gruba powłoka śnieżna pokryła góry i doliny, tak że tereny dla nart były świetne.

Organizacja zawodów spoczywała w rękach Polskiego Związku Narciarskiego. Zadanie było nielada, a wywiązać się z niego trzeba było jaknajlepiej, by dać dobre świadectwo państwu i społeczeństwu polskiemu. Na zeszłorocznym kongresie usilnie zabiegaliśmy o pozwolenie urządzenia Mistrzostw w naszym kraju, wierząc, że przyniosą nam one rozgłos i sławę, a także propagandę narciarstwa wewnątrz kraju; trzeba więc było stanąć na wysokości zadania, — przygotować zawodników i zająć się należytą organizacją samych zawodów i gościnnym przyjęciem

gości. Z dumą dziś można stwierdzić, że z zadania Polska wywiązała się znakomicie; organizacja nie pozostawiała nic do życzenia, wyniki naszych zawodników i zawodniczek były nadspodziewanie dobre. Dość powiedzieć, że idziemy pierwsi za krajami północy, — jeszcze dziś ich prześcignąć nie możemy, i dzięki ich warunkom terenowym i atmosferycznym nie tak zaraz nam to może się udać, ale z narodów śródkowej Europy zajęliśmy pierwsze miejsce i wstydu polskim barwom nie przynieśliśmy.

W programie Mistrzostw Europy nie zechciały władze międzynarodowe uwzględnić biegu pań. Polska posiadając wybitne narciarki, zorganizowała łącznie z mistrzostwami bieg dla pań w konkurencji międzynarodowej. Niestety, ponieważ punkt ten nie był w programie oficjalnym, zwyciężczyni biegu nie dostała oficjalnego tytułu Mistrzyni Europy. Ponieważ jednak do biegu tego stanęło przeszło 30 kobiet i to różnych narodowości (prócz zawodniczek narodów północnych, którzy nie uznają narciarstwa, jako sportu zawodniczego dla kobiet) — może sobie p. Brońcia Staszel-Polankowa śmiało ten tytuł przypisywać. Bieg pań odbył się w czwartek 7/II r. b. Pogoda mroźna i wietrzna, śnieg „ciężki“, gdyż miejscami zlodowaciały, miejscami nawiany; trasa biegu wynosi 6 km. Godzina 11-ta, start na Gubałówce. Wśród publiczności zainteresowanie biegiem duże; wszyscy oglądają się za swoją faworytką, młodziutką góralką Brońcią Staszelówną, chlubą narciarstwa polskiego. Nasza druga sława p. Loteczkowa, zwyciężczyni wielu zawodów międzynarodowych i długoletnia mistrzyni Polski, niestety, w biegu udziału nie bierze. W czasie jazdy na nartach, trenując z zapalem, uległa zwichnięciu nogi i wskutek przedłużania się choroby nie mogła stanąć do biegu. Znając tę ambitną zawodnicz-



Bieg pań 6 klm.

Photo Plat



Polankowa otrzymała pierwszą nagrodę w biegu pań  
Photo-Plat

kę, poświęcającą się ze wszelkich sił dla sportu, wiemy, wiele zmartwień przyczyniła jej ta „nieszczęсна“ noga.

P. Ela Zientkiewiczowa, mimo gorączki i zaziębienia, na start przychodzi. Znając „niepewności“ biegów narciarskich, gdzie o złamanie narty lub o wypadek nie trudno, boi się całą odpowiedzialność wygranej złożyć na Brońcię. Ogółem start zgromadził około trzydziestu zawodniczek. Polek 19, przeważnie młodych, niewyrobionych jeszcze „zawodniczo“ pań; sama liczba jednak świadczy, że narciarstwo kobiecie staje się u nas popularne i ogarnia coraz szersze masy. Zgłoszone do biegu dwie angielski — Durell Sale Barker i Doreen Ellistt, których bieg zjazdowy dnia poprzedniego zachwyił i wprawił w podziw, wycofują się, gdyż nie mają treningu w podchodzeniu. Co pół minuty odchodzą zawodniczki ze startu i giną szybko w śnieżnym pyłe. Trasa, z powodu niezbyt dobrego śniegu, ciężka, jednak sportsmenki mkną naprzód, zwalczając trudności terenowe, zły śnieg i ostry wiatr. Zjazd przy biegu ostry i trudny. — Polankowa i Friedlaerowa wyszły zwycięsko, gdyż cały zjazd odbyły bez upadku.

Minuty szybko mkną — koło 12 ukazują się na mecie pierwsze zawodniczki, witane owacyjnie przez licznie zebraną publiczność. Sędziowie obliczają czas i za chwilę ogłaszają wynik. Brońcia Staszel Polankowa bezkonkurencyjnie pierwsza! Radość widzów z powodu zwycięstwa faworytki i ulubienicy nie ma granic; życzenia, wiwaty, uściski trwają bez końca. Druga przyszła czeszka p. Friedlaerowa - Harlowa, trzecia — p. Zientkiewiczowa. Dalsze miejsca zajęły też polki. Zwycięstwo bezapelacyjne raz jeszcze po-

twierdziło doskonałą formę naszych zawodniczek i pierwszeństwo naszych pań w sporcie narciarskim. Broncia Staszek Polankowa nieoficjalną Mistrzynią Europy! Biały sport, zwany też „królewskim“, stanął narówni z „królową sportów“, lekką atletyką, wysuwając „Bronię“ na arenie międzynarodowej obok naszej olimpijki Konopackiej. Kobiety polskie naprawdę mogą być dumne ze swych przedstawicieli sportowych! Mówiąc o biegu pań, wspomniałam o angielskich i ich brawurowym udziale w biegu zjazdowym. Panie te wzięły udział poza konkursem: w biegu zjazdowym panów, który się odbył w środę 6 lutego. Nie mając w swej ojczyźnie warunków dla sportu narciarskiego, Anglicy jeżdżą do Szwajcarii i tam rozkoszują się tym pięknym sportem. Specjalnie trenują biegi zjazdowe, które dają dużo emocji i wymagają opanowania techniki; natomiast biegi płaskie, podchodzenie pod góry jest im zupełnie obce; — płaskich terenów nie znają, a pod góry wyciągnię przecież kolejka, co zaoszczędzi zmudnej i długiej pracy. Bieg zjazdowy odbył się specjalnie na prośbę Anglików, — kobietom poza konkursem pozwolono brać udział. Stały się Angielki; w czarnych kostjumach narciarskich, bez żadnych barwnych szalików, sweatrów i t. d., prezentowały się ich sylwetki bardzo wytwornie. Technikę zjazdową miały świetną — wszystkie ewolucje robiły opanowanie i z wielką wprawą, zachowując przez cały czas zjazdu wyprostowaną postać, co wygląda efektowniej od postawy kucznej i pochylonej. Zajęły w ogólnej konkurencji, na 40 zawodników — 12 i 13 miejsce, bijąc całą masę czołowych zawodników różnych narodów. Należą im się prawdziwe słowa uznania za osiągnięty styl i technikę biegu zjazdowego.

Ogólny bilans wyników zawodów przedstawia się dla nas następująco: bieg pań — 1-sze miejsce p. Staszek - Polankowa, bieg zjazdowy — 1-sze miejsce Broniek Czech, kombinacja (bieg 18 kilometrów i skoki) — 4-te miejsce Broniek Czech, bieg 50 kilom. — 13 miejsce, bieg patrolowy — 2-gie miejsce, skoki — 10-e miejsce. Przy wielkiej konkurencji zawodników krajów północnych, wyniki nasze są bardzo dobre i możemy z nich być dumni. Organizacja zawodów była bez zarzutu.

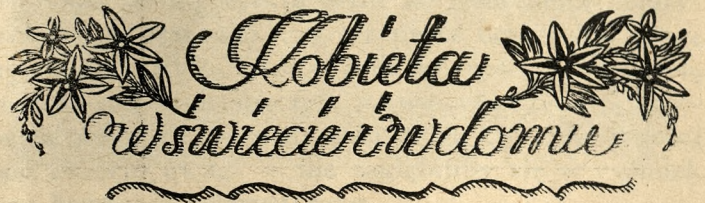
## Z KSIĄŻEK

*Marja Królowa Rumunji* „Głos na szczytach“. — Powieść. Z upoważnienia autorki przełożyła Z. Rabska. — Instytut Wydawniczy Renaissance, Warszawa.

W dobie dzisiejszej, gdy literatura idzie równolegle z życiem codziennym, nie ustępując mu ani w tempie, ani w motywach, — powieść, obracająca się całkowicie w granicach czystego idealizmu, staje się zupełną nowością. Legenda, czy fantazja, czy jakiegoś misterjum miłości — doprawdy, niewiadomo, jak na-

zwać tę powieść królowej Marji Rumuńskiej, tak daleko odeszła ona od szablonu dnia dzisiejszego. Prostu nie umiemy prawie myśleć temi kategorjami i nie potratimy do książki tej podejść pod jakikolwiek krytycznym kątem. Nie mniej jednak porywa nas ona swą czystą wzniosłością i z radością idziemy za nią my, przygwożdżeni do codziennej szarzyzny. Jakże miło jest pomyśleć choć na chwilę o tem, że miłość może dać wielką i piękną siłę uszczęśliwiania innych, i że koło pięknej i czystej miłości właśnie wszystko obraca się na ziemi! Jakże miło uwierzyć w istnienie pięknych i szlachetnych rycerzy, półwie tych dziewic i utrudzonych życiem zakonników! Czytając książkę królowej Marji, nie myśli się o trudzie zdobycia złotych szat, bo piękna Glawe ma je niewiadomo skąd, ani o cięższym jeszcze trudzie zdobycia chleba, bo nikt w tej książce o tem nie myśli. Żyje się bajką.

Przekład Z. Rabskiej stoi na wysokości zadania utrzymując w całej pełni koloryt baśniowości i pewnego rodzaju symbolizmu, o jaki zapewne chodziło dostojnej autorce.



### ORGANIZACJA ZWIĄZKU LEGJONISTEK.

Jak już pisaliśmy w Bluszczu, dawne członkinie Legji Kobiecej organizują Związek legjonistek polskich. Siedziba Związku znajduje się przy ul. Hożej, Nr. 54 m. 7. Członkowie Komitetu organizacyjnego dyżurują w tym lokalu w soboty od godz. 4½ do 6 i pół, przyjmując zgłoszenia i udzielając informacji.

Oprócz uczestniczek czynnych b. Ochotniczej Legji Kobiet, Komitet przyjmuje na członków Związku osoby, sympatyzujące z jego celami.

Komitet podaje również do wiadomości, że b. legjonistkom, mającym trzymiesięczną służbę linjową lub pięcioletnią innego rodzaju, przysługuje prawo otrzymania „pamiątkowego medalu za wojnę 1918 — 1921“, o którą to odznakę należy składać podania do właściwego D. O. K., z wyszczególnieniem imienia, nazwiska, daty i miejsca urodzenia, obecnego adresu i miejsca pracy, wreszcie przebiegu służby, podając zeń jedynie datę, funkcję i stopień.

N. J.

### WNUCZKA LAMARTINE'A

Właściwie uroczą baronową de Brimont, poetką i nowelistką, nie jest wnuczką Lamartine'a, lecz brata słynnego poety, gdyż Lamartine nie pozostawił potomstwa. Nie przeszkadza to jednak, że piękna poetka uderzająco przypomina portrety swego stryjecznego dziadka i z powodu tego podobieństwa jest znana ogólnie w świecie literackim, jako „wnuczka Lamartine'a“. Smukła, wiotka postać młodej kobiety, wielkie czarne oczy, mimowolnie przypominają czasy romantyzmu Jocelyn'a i Eloizy. Pani de Brimont posiada przytem wdzięczny talent po-



Baronowa de Brimont, mnuczka Lamartine'a, poetka francuska

etycki i wielki kult dla wspomnień swej rodziny. Pierwszemu zawdzięczamy parę tomów poezji wycieniowanych, nieco sentymentalnych, jak „Tabliczki woskowe“, „Miraże“ oraz „Psych“; drugiemu — ciekawą książkę „Lamartine fantaisiste“, listy, pisane nieraz wierszem przez Lamartine'a do swej rodziny, zbrane i wydane poraz pierwszy z wielkim pietyzmem przez panią de Brimont, a rzucające ciekawe światło na charakter i prywatne życie słynnego poety francuskiego.

Niedawno wyszła w wykwintnej szacie nowa jej książka, zatytułowana „Arka“, zawierająca dwanaście nowel, t. j. dwanaście postaci męskich i kobiecych biblijnych, począwszy od Ewy, a kończąc na Zwiastowaniu, gdyż u progu Nowego Testamentu poetka zatrzymuje się nabożnie niemal, w ciszy i skupieniu. Ładne, słoneczne, są niektóre postacie kobiet hebrajskich, jak np. córka Jeftego lub Abisag; fatalnym jakimś urokiem odznacza się Dalila. Wizje poetyckie przełodzą przed nami i mijają, niby w filmie, ustępując miejsca nowym, coraz bardziej ciekawym i wyrazistym. Szczególnie ładna jest postać Hagary, najpierw dziecinnie naiwnej, potem bezkrytycznie zakochanej w Abrahamie. Pani de Brimont, jako pełna cześć dla Lamartine'a, ma również zamiar odsłonić nam jeszcze inne nieznanne karty z życia poety.

Dr. M. Kasteri

#### CZASY SIŁ ZMIENIŁY.

W tych dniach w Westminsterze odbędzie się uroczystość odsłonięcia pomnika zmarłej w roku zeszłym wybitnej bojowniczkii praw kobiet i leaderki sufrażystek angielskich Miss Pankhurst. Odsłonięcia dokonać ma premier Baldwin,

który wygłosi wielką mowę na cześć zmarłej. Tak bardzo zmieniła się od lat dwudziestu opinia o prawach kobiet, że Anglja wznosi dziś pomnik tej, która tak niedawno była prześladowana i więziona za swe wystąpienia!

N. J.

#### AKADEMJA FRANCUSKA STANEŁA PO STRONIE KOBIEC.

Na skutek ankiety, przeprowadzonej przez francuskie koła kobiece wśród członków Akademji francuskiej, wypowiedziała się za udzieleniem kobietom praw wyborczych olbrzymia większość akademików. Autorzy: Valéry, Lavedan, Marcel Prevost, Hanotaux i Henry Bordeaux, znakomity dyplomata i dziennikarz, Jules Cambon, prezydent ministrów Poincaré, marszałek Joffre i wielu innych. Pomimo to jednak, że najwyższe sfery polityczne i intelektualne są stronnikami praw politycznych kobiet francuskich, — rząd stoi stale na stanowisku opornem i Francja w zakresie równouprawnienia znajduje się na ostatniem miejscu w Europie.

N. J.

#### KOBIETY CZESKOSŁOWACKIE PRACUJĄ DLA SŁOWIAŃSZCZYZNY.

W Pradze odbyło się zebranie organizacyjne Słowiańskiego Związku Kobiet. W utworzeniu tego stowarzyszenia biorą udział wybitne osobistości ze świata kobiecego oraz znani działacze społeczni, polityczni i naukowci. Na zebraniu obecni byli dr. Kramarz i minister oświecenia, dr. Milan Hodža.

Zadaniem Związku jest dążenie do jedności całej słowiańszczyzny na drodze współpracy społecznej i kulturalnej. Wychodząc z założenia, że praca kobiet i ruch kobiecy należą do rzędu doniosłych czynników społecznych, kobiety czeskosłowackie przystępują do pracy nad ściślejszym zbliżeniem narodów słowiańskich, opartem na podstawie wspólności rasy, celów i interesów.

N. J.

#### CZEGO ŻĄDAJĄ KOBIETY BUŁGARSKIE.

Odbyty niedawno w Sofji zjazd kobiet bułgarskich zakończony został wybraniem stałego komitetu i delegacji, która przedstawiła następujące żądania ministerstwu sprawiedliwości, oświaty oraz przemysłu i handlu.

Oto najważniejsze z tych postulatów:

Dopuszczenie kobiet do adwokatury. Ustanowienie prawa, regulującego wzajemne prawo własności majątkowej małżonków, oraz prawo pomocy dla wdów, obarczonych dziećmi. Uregulowanie narodowości kobiet zamężnych. Sprawa ta jest bardzo ważna dla wszystkich krajów na Wschodzie, w których niejednokrotnie kobiety zaślubiają mężczyzn, przynależnych do różnych szczepów napół cywilizowanych, chodzi o niepozbawienie kobiety jej praw obywatelskich, które posiadała, jako panna, i możliwości interwencji w jej sprawie, w razie wypadku jakiejś krzywdy. Ta sama kwestja głośna jest obecnie w Anglji, i w wielu innych krajach, posiadających dalekie kolonie. Dalej zażądały bułgarki rozszerzenia sieci szkół zawodowych dla dziewcząt i subwencjonowania ich przez państwo, oraz zastosowania typu tych szkół, t. j. rodzajów zawodów do potrzeb krajowego przemysłu.

<p><b>PROSZEK „KOGUTEK”</b> DLA DOROSŁYCH USUWA NAJUPORCZYWSZY <b>BÓL GŁOWY</b></p>	<p>CHCĄC NABYĆ PROSZKI NASZEGO WYROBU, NALEŻY PRZY KUPNIE AKCENTOWAĆ I WYRAŹNIE ŻAĐAĆ ORYGINALNYCH PROSZKÓW z „KOGUTKIEM” GASECKIEGO. ZNANYCH OD LAT TRZYDZIESTU. ZWRACAJCIE UWAGĘ I ODRZUCAJCIE UPORCZYWIE POLECANE NAŚLADOWNICTWA W PODOBNEM DO NASZEGO OPAKOWANIU.</p>
---	---



## POLSKI STYL

## II.

Wśród całej naszej dzisiejszej twórczości przemysłowo - artystycznej, najbardziej swoisty, polski charakter mają kilimy. Technika prosta, stara „jak świat” — która po wiejskich chatach przetrzymała długie, ciężkie lata niewoli, reprezentuje dziś naszą sztukę i jej styl na wszystkich wystawach całego świata.

W szczęśliwą chwilę wydobyte z zapomnienia i wzięte w opiekę przez artystów — kilimkarstwo nasze przyjęło się w społeczeństwie i wrosło już dość głęboko w jego życie, pokrywając nieraz luki i wady naszych mieszkań.

Wrześniowa wystawa w Katowicach (Wnętrze domu i technika na usługach gospodarstwa domowego) dała obok haftów bardzo obfity przegląd kilimów, dywanów i płócien lnianych, lansowanych słusznie przez organizacje artystyczne i towarzystwa, opiekujące się przemysłem ludowym.

Materiału porównawczego dostarczyły Warszawa, Kraków, Zakopane, Lwów — które dały tam sobie kilimowe rendez - vous; były też kilimy z Częstochowy, oraz samodziały i pasiaki piotrkowskie i łowickie. Nie jest to jeszcze wszystko; nie było kilimów, kultuwujących tradycję polskich dworów (Tarkos) nie było wszystkich typów kilimu krakowskiego, nie było kilimów z warsztatu pionowego — mimo to, było kilimów dużo.

Kraków, Warszawa i Zakopane pokazały produkcję nowoczesną, opartą bądź na artystach tej miary, co Czajkowski i Treter, bądź na stowarzyszeniach i wytwórniach, które wchodzą w orbitę wpływów szkół artystycznych, — a mianowicie warszawskiej akademii sztuk pięknych i krakowskiej szkoły przemysłu artystycznego. Nie dotyczy to zakopiańskiego „kilimu”, który poza niektórymi projektami, pochodzącymi z Krakowa (p. Orszulskiego i Ligasówny), ma swoje wzory.

Założenia artystyczne warszawskiej i krakowskiej szkoły są dość rozbieżne (co dla sztuki wychodzi tylko na korzyść). Szkoła krakowska opiera rysunek bezwzględnie na technice kilimu, operując raczej płaszczyzną i podkreślając stale poziomą tendencję tkaniny. Wyklucza tem samym linię pionową i wszystko, co się do niej zanadto zbliża.

Szkoła warszawska interesuje się tą stroną bardzo mało.

Drugą różnicę stanowi całkiem odmienne pojmowanie stosunku artysty do kilimu i do nabywającej go publiczności.

Szkoła warszawska twierdzi, że kilim, jako dzieło sztuki i jako subiektywny wyraz twórczości danego artysty, nie powinien być reprodukowany (t. j.

tkany w jakiejś pracowni przez robotnicę dowolną ilość razy), ale powinien być wykonany, jako unikat, przez samego projektodawcę; posuwa się przytem tak daleko, że każe mu osobiście prząść wełnę i farbować ją<sup>1)</sup>. Wyrazem tego kierunku jest stowarzyszenie „Ład”, złożone z profesorów, uczniów i uczennic tej szkoły. Jego eksponaty — szlachetne, — choć może zanadto złamane w kolorze — wędrują od swych twórców do przyszłego nabywcy, przepadając za tem dla ogółu.

Krakowska szkoła stawia tę kwestję inaczej — powiedziałabym — szerzej. Nie przeczy ona, że każdy artysta, czy artystka, może — jeśli chce — zaprojektować i wykonać kilim - unikat, czy dlatego, że jego finezje nie dadzą się powtórzyć, czy dlatego, że go przed powtarzaniem prawnie ochroni, — ale nie czyni z tego nienaruszalnej zasady. Traktuje ona kilim, jako przedmiot codziennego użytku, który tem samem musi być przeznaczony do masowej produkcji — zachowując, mimo to, wszelkie wartości artystyczne, jakie mu daje dobrze skomponowany rysunek i szlachetny dobór barw.

Zapewne, że zachodzi tu zawsze niebezpieczeństwo spaczenia projektu przez złe zestawienie kolorystyczne w pracowni, czy też przez bezmyślną pracę robotnicy; artysta musi — o ile możliwości — starać się o usunięcie tych spaczeń, wywierając tą drogą pewien pedagogiczny wpływ na ludzi, którzyby inaczej nie zwrócili uwagi — nie zagłębiliby się w rysunek czy harmonje kolorystyczne.

Jeśli kilim wyrugował już dziś niemiecko-fabryczną tandetę z naturalistycznie rysowanymi pieskami i jeleniami — to jest zasługą powojennego, krakowskiego kierunku.

Dlatego piszę „powojennego” — gdyż przed wojną, gdy kilimem dopiero zaczynało się interesować, — przyczepiła się i do niego modna wówczas obca secesja. Wyrosły na kilimach maki, nasturcje, bratki, malwy, słoneczniki i inne kwiatki — które do dziś dnia jeszcze na nich kwitną. Nie pisałabym o nich wcale, gdyby nie to, — że rosnąc dość obficie na kilimach i znajdując wciąż duży popyt, obarczyły sobą na wystawie wyłącznie Lwów. Będąc szczerą wielbicieleką Lwowa — z prawdziwym żalem widziałam, że wszystko, co było największym nonsensem i najbrzydszem w kilimkarstwie, pokutuje tam do dzisiaj, lub pod jego firmą na wystawie się ukazało. Zarówno Lwów, jak i Gliniany opierały swój rysunek na tkactwie ludu ruskiego, który spaczył tkaninę, wprowadzając obcy jej element z haftów krzyżkowych (wyjątek stanowi Pokucie — pasiaki z Kossowa). Nikt nie oczyścił z tych naleciałości tkactwa we wsch. Małopolsce i operuje ono tam dalej „kostką”, a co najwyżej przedwojenną secesją. Widziałam ki-

<sup>1)</sup> Tak przynajmniej robi się na terenie szkoły.

lim, mający może 3 m<sup>2</sup> powierzchni, — z wąską ramą i 3-ma (dosłownie — trzema) różami, wypełniającymi płaszczyznę 2 m<sup>2</sup>. Nie mogę pojąć, w jaki sposób może kogoś zadowalać powiększenie wiotkiej, subtelnej, prawie przezroczystej róży przez teleskop i naśladowanie jej zapomocą grubej i włochatej wełny?

Być może, że te kwiaty mają wnosić do domów wspomnienie przyrody, ogrodowych klombów, czy też łąki, pełnej kwiatów. Jakżeż prymitywnie robimy to dziś — w XX wieku, — jeśli pomyślimy, w jaki czarodziejski sposób wnosili w swe ściany naturę tkacze perskich dywanów, japońscy lub renesansowi hafciarze! Czyż nie lepiej kupić zamiast takiego kilimu „martwą naturę“ lub kwiaty, pendzla jakiegoś artysty - malarza?

Wadą kupującej publiczności jest to, że, dając się nabierać na żywy, często pstry koloryt (kwiaty żółte, pomarańczowe, czerwone z szeregiem tonów zielonych) — nie interesuje się natomiast poprawnością rysunku. Często spotyka się fakt, że posiadacz jakiegoś drogocennego dywanu wschodniego — przez kilkadziesiąt lat nie zauważył ani jednej krzywizny czy asymetrii — od których aż się roi w wielu dywanach. Tymczasem oko, przyzwyczajone patrzeć na rysunek, spostrzega je w ciągu kilku minut. Gdyby ktoś zadał sobie trud przejrzenia w takim kilimowym kwiecie każdego listka osobno — zdziwiłby się, że można tak dokładnie popsuć piękno natury. — Znają tę powierzchowność patrzenia liczne pracownie, które jakbądź klecą rysunki, a za wymówkę służy im zdanie: „ludzie i tak kupią“.

Brak ochoty do wyrażania swych uczuć rysunkiem i do szukania go, można odczuć też w dywanach strzyżonych, — których Polska produkuje dużo (Biała na Śląsku ciesz., Kraków, Warszawa). Było ich wiele na wystawie wnętrza; wśród ogromnych okazów znalazłam tylko jeden mały dywanik z wzorem nowoczesnym, i to z wzorem typowo niemieckim. Pozatem kopje. Dobrze — że oryginały są tak wspaniałe, — iż odbłask ich świetności znajduje się też na tych powtórzeniach. Ale czyż i my nie potrafilibyśmy, gdybyśmy chcieli — nic wetkać — w te dywany, będące naszymi codziennymi towarzyszami? Czyż musimy być tylko czyjś echem? Pracownikom dywanów jest to bardzo na rękę — nic ich bowiem nie kosztują wzory; ale zdaje mi się, że przebolałyby też wydatek na wzory, gdyby na nich zarobiły.

Z tkanin ciekawe były jeszcze lniane materiały, które pokazał „Ład“. Bardzo ładne w rysunku i kolorze, mają służyć na obicia ścian i mebli, — przyjmą się też zapewne w przyszłości, jeśli będą w większych ilościach wytwarzane. Tak samo na rozpowszechnienie zasługują oryginalne tkaniny z okolic Wilna, o których pisano w ostatnich czasach dość często z powodu targów wileńskich.

Gdyby we wszystkich działach sztuki stosowa-

nej uzyskano taki stopień samodzielności i swojskiego wyrazu, jak w tych dwóch gałęziach przemysłu włókienniczego (kilim i tkanina lniana) i gdyby wszystkie spotkały się z równą popularnością, — posiadlibyśmy jedną cenną zdobycz kulturalną więcej: — posiadlibyśmy własny wyraz i styl. M. Zawadzka.

## WARTOŚĆ ODŻYWCZA GRZYBÓW

Niemiecki uczony, prof. Schwaegrichen, powiedział lat temu parę, że „niedaleka jest ta epoka w historii ludzkości, w której człowiek wyłącznie odżywiać się będzie grzybami“.

Profesor ten wyraźnie użył słowa „wyłącznie“, a nie „przeważnie“, jakby to ktoś chciał może rozumieć. Znaczy to, że nauka dziś, rozporządzając o wiele doskonalszymi i metodami i aparatami, niż za czasów Karola Königa, którego tablice porównawcze wartości odżywczych wszelkich naszych codziennych pokarmów do dzisiaj u nas wszędzie, a przede wszystkim w szkołach obowiązują — wynosi grzyby ponad wszelkie inne ludzkie pożywki. Jeśli zaś ponadto dowiemy się, że w pasie środkowo-europejskim, czyli i w Polsce, a raczej przede wszystkim w Polsce, grzybów tak zwanych „wyższych“, to znaczy takich, jakie my powszechnie nazywamy „kapeluszkami“, rośnie przeszło 4000 gatunków, że, dalej z pośród nich ustaliła dotąd nauka 263 gatunki, jako jadalne i wysokowartościowe, zaledwo zaś kilkanaście gatunków, jako trujące, a kilkadziesiąt gatunków, jako wprawdzie nietrujące, ale pod względem odżywczym mało albo bezwartościowe, — to, pamiętając, że pozostaje jeszcze przeszło półczwarta tysiąca grzybów wyższych, dotąd pod względem ich wartości użytkowej niepoznanych, śmiało spodziewać się możemy, że po dokładnem poznaniu całego naszego królestwa grzybów wyższych i po udoskonaleniu metod badania ich wartości, grzyb stanie się wreszcie tem, o czem napróżno marzyli alchemicy średniowiecza, stanie się — eliksirem życia. Wystarczy bowiem człowiekowi wypić dziennie zaledwo kilka kropel ekstraktu grzybowego, aby był w pełni sił, ochoczo i bez wyczerpania pracował, a co najważniejsze, aby nie przeciążał żołądka i kiszek i — jak to dziś się wszędzie dzieje — częstymi atakami niestrawności nie osłabiał postępowo swego organizmu, a zwłaszcza serca, i nie skracał sobie skutkiem tego własnowolnie życia.

Od czasów Königa krzyczano do niedawna, że grzyb jest przede wszystkim ciężkostrawny, zwłaszcza zjedzony na noc, i mało wartościowy, bo zaledwo tyle, co kiepska jarzyna. A dzisiaj Niemcy nazywają grzyba „Das Fleisch im Walde“, tak samo czesi — „Maso lesove“, sam zaś wiem z własnego dłu-

goletniego doświadczenia, że choćby i na noc zjeść można nawet całą miskę dobrze przyrządzonych grzybów nie tylko bez najmniejszej szkody dla snu i zdrowia, lecz owszem z ogromnym wprost pożytkiem dla procesu trawienia, który przy pomocy grzybów przebiega normalnie.

Fakt ten winien być wskazówką dla nauki, że czas, by nareszcie zajęto się i u nas klinicznym badaniem wartości odżywczej i leczniczej grzybów.

Mówię wyraźnie — „wartości leczniczej“.

Chyba bowiem nie bez jakiejś poważnej przyczyny zakazał Mojżesz izraelitom pożywania wszelkich grzybów (nota bene w Palestynie i w Egipcie rosnących), z wyjątkiem jednego jedyne kurka, zwanego również „lisicą“ (*Cantharellus cibarius*). I dziś nieraz widzieć można w halach i na placach targowych, gdzie sprzedają grzyby, że nie jeden żyd najpiękniejsze nawet borowiki, maślacze, czy rydze ominie, a kupi tylko kurki.

W tem coś przecie być musi. Wyjaśnia to prof. dr. Juljusz Zellner w ciekawem bardzo dziele p. t. „Chemie der hoheren Pile“. Mówi w niem, że kurka, prócz białka, tłuszczu, cukru i inych wartościowych węglowodanów, zawiera lecytynę, ten szlachetny przetwór kwasu fosforowego, jaki jest częścią składową treści naszego mózgu, rdzenia i nerwów, a który sztucznie wydobywany dotąd tylko z żółtka kurzego jaja, należy do najdzielniejszych środków leczniczych w medycynie.

„Kurka jest jednak najciężej strawnym grzybem“ — krzyczą lekarze. Oczywiście, bo więcej, niż inne grzyby, posiada chityny, z której matka-przyroda tworzy jego błonkę komórkową. Ale jeśli kurka (jak zresztą i wszystkich innych grzybów) nie pokraje się w grube kawałki, nie gotuje, czy dusi, godzinę, czy półtorej, jak nakazują dotąd wszystkie nasze kulinarne podręczniki, nie posoli zawczasie, nie gotuje w metalowem, choćby najlepiej nawet emaljowanem naczyniu, jeśli się je do tego zaraz z początku pokropi sokiem cytryny (nie kwaskiem cytrynowym), to kurki będą napewno pokarmem lekkostrawnym, smacznym i odżywczo i leczniczo wartościowym.

Ponieważ, jak już wiemy, błonka komórkowa

grzyba, to chityna, zatem powinno się błonkę tę możliwie najdokładniej zmiażdżyć, czego nie potrafią dokonać ani zęby, ani żołądek. Powinno się zatem kurki (i wszystkie inne grzyby) ucierać na tarce, następnie w moździerzu, wreszcie gotować otrzymaną papkę jedynie z dodatkiem odrobiny soku cytrynowego tylko w glinianem albo kamiennem naczyniu i tylko tak długo, aż z pod przykrywy przestanie ulatniać się zapach surowizny, co następuje zwykle najdalej w 10 do 15 minut gotowania. Dopiero wtedy grzyby zaprawia się masłem lub śmietaną, dusi jeszcze kilka minut, wkońcu soli się je do smaku i, zamieszawszy kilka razy, podaje na stół.

Tylko w taki sposób przyrządzone grzyby będą lekkostrawne, i tylko tą drogą wyzyska organizm w możliwie największej mierze ich wysokie wartości odżywcze i lecznicze.

Bo — jeśli o przesąd konieczności długiego gotowania grzybów chodzi — to... mimowoli naprasza się tu o powtórzenie znała anegdotka:

Pewna panienska, skończywszy szkołę kucharską, wyszła zamąż. Po jakimś czasie spotyka się z koleżanką, która skwapliwie pyta:

— No i cóż, jesteś szczęśliwa?

— Tak, bardzo byłabym szczęśliwa, gdyby nie jedno.

— Cóż takiego?

— Wyobraź sobie, moja droga: mój Jaś bardzo lubi jaja na miękko. Ale ja już naprawdę nie potrafię, co się z temi jajami dzieje. Gotuję pół godziny — twarde, gotuję godzinę, jeszcze twardsze. Co robić, żeby wreszcie zmiękły?...

To samiutko dzieje się z grzybami, których białko chemizmem swym bardzo zbliża się do białka zwierzęcego; to samo dzieje się, jak wiadomo, z polędwicą wołową, to samo z każdą inną pożywką, zawierającą znaczne ilości białka pełnowartościowego.

A ile zawierają go grzyby, dowiedzieć się można z wyżej wspomnianego dzieła profesora Zellnera, przedewszystkiem zaś z obserwacji błogosławionych skutków, jakie człowiekowi przynosi częste a obfite odżywianie się racjonalnie przyrządzonemi, smakowitemi grzybami!

Feliks Teodorowicz.

## NAJTAŃSZY I NAJPRAKTYCZNIJSZY, BO ODRAZU NA DWA LATA: 1929 i 1930 **KALENDARZ Dziecka i Matki**

Jest encyklopedją wszystkiego, co matka wiedzieć powinna z zakresu wychowania moralnego i fizycznego dziecka do lat 7-mlu, oraz higieny — kobiety, ze szczególnem uwzględnieniem okresu ciąży i karmienia. —

STRON 260

Cena 3 zł. 50 gr.

Z przes. poczt. 4 zł.

Do nabycia w Tow. Wyd. „Bluszcze“ — Warszawa, Plac Zamkowy 99.

Konto P. K. O. 13.555.

## NOWE WYNAŁAZKI Z DZIEDZINY GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Płonące świece z czasów naszych prababek, zawierające tyle romantyzmu, utrzymują się stale, jako motyw dekoracyjny. Teraz są naturalnie elektryczne i bardzo ładnie wyglądają w ściennych kandelabrach. (rys. 1).

Elektryczny magiel pokojowy jest bardzo wygodny. Złożony, wygląda jak mała szafka na rolkach, którą się da umieścić w każdym pokoju, tak mało miejsca zabiera. Rozłożony i uruchomiony zapomocą kontaktu, magluje doskonale i szybko. (rys. 2).

Nowy model wiaderka na odpadki kuchenne widzimy na rys. 5. Wiaderko jest małe, tak, że się mieści doskonale pod stołem. Ma zamykaną hermetycznie pokrywę, co zabezpiecza przed wydzielaniem złych zapachów.

Przyrząd do szczotki, uwidoczniiony na rys. 4, pozwala na użycie ręcznej szczotki do szorowania podłóg.

Szczotka, wyjęta z oprawy, może znów służyć za ręczną.

## JADŁOSPISY POSTNE

Kiedy lekarz wyznaczy dietę bezmięsną, lub kiedy nadejdzie Wielki Post i konieczność dysponowania takich bezmięsnych obiadów i kolacyj — każda niemal gospodyni czuje się upoważniona do stękania i narzekania na trudności, z tem połączone. A do narzekań powodów właściwie niema wcale. Już od lat wielu zapomnieliśmy zupełnie o tem, co znaczy post ścisły. Ten post naszych dziadów i pradziadów, którzy nietylko mięsa, lecz i nabiału przez siedem tygodni, poprzedzających Wielkanoc, nie używali, lecz jeszcze do skromnych posiłków, przyrządzanych na oleju, wnosili dobrowolne umartwienia w postaci wyrzeczenia się potraw przez siebie lubianych. Pamiętam starą ciocio-babcie, która, ponieważ lubiła śledzie — ani solonych, ani wędzonych przez post cały do ust nie brała — a przecież śledź na głębokiej prowincji był jedyną rybą, którą poza dniem Wilji lub świętami żydowskimi nabyć było można. Inna nie jadła żadnych słodczy, żadnych owoców, nawet herbatę piła bez cukru. Inna jeszcze nie jadła białego, ani wogóle żadnego innego, świeżego pieczywa, kontentując się żytniami sucharami na owsianym roczynnie. Panowie wyrzekali się cygar, wina, wódki przed obiadem. A my dzisiaj narzekamy, mając nietylko, dzięki rozwojowi hodowli ryb, karpie prawie we wszystkich małych miasteczkach — już nie mówiąc o dworach — mając obfitość i wielką taniłość ryb morskich z naszego Pomorza, mając krajowe ryby wędzone i wyborne konserwy, nie ustępujące zagranicznym. I jedne i drugie doskonale się dają przewozić nawet w największe mrozy i, dobrze opakowane, można je przesyłać pocztą do takich miejscowości, gdzie kolej nie dochodzi. Ryby wędzone, szczególnie najtańsze z nich, piklingi, dają się użyć w najrozmaitszy sposób. Można z nich robić dania urozmaicone, jak z ryb świeżych. Jeśli zmarzną w drodze, wystarczy je wsunąć na minut kilka w gorący piec, a odzyskają smak i łupkość, właściwe świeżo wędzonej rybie. Tak odświeżone, jeszcze gorące, wybornie smakują z kartoflami i masłem. Można je zapiec w śmietanie, obrane z ości i skóry użyć do majonezowej sałatki, taksamo obrane rozgrzać w sosie pomidorowym lub chrzanowym, zrobić z nich budyń, suflet, forszmak lub pasztet na gorąco, czy na zimno, zawsze traktując je, jak świeżą rybę, i posługując się odpowiedniami do przyrządzania ryb świeżych przepisami. Smak te dania będą miały odrębny, nieco ostrzejszy, lecz bardzo przyjemny.

Zwykle śledzie solone, których użytek z dawien dawna jest dobrze znany, dają się też przyrządzać na nieskończoną ilość sposobów, na gorąco i na zimno. Szczególniej smaczne są z nich różne marynaty, przeważnie bardzo łatwe do wykonania. Nie będę tu mówiła o rybach świeżych, których dostawa doskonale

zorganizowana, jeśli chodzi o stolicę, do miast prowincjonalnych jeszcze szwankuje. Jak twierdzą wielcy importerzy ryb, główną przyczyną tego objawu jest brak zapotrzebowania ze strony publiczności. Bo też jesteśmy strasznie konserwatywni i strasznie przesądni, co do pokarmów. Kilka lat czasu zużyto do przekonania stolicy, że dorsz, którym całe okolice nadmorskie się żywią, jest rybą smaczną, dającą się przyrządzać tak, jak szczupak lub sandacz. Jeszcze gorzej było ze świeżymi śledziami. A jednak ta ryba we Francji za przysmak jest uważana i na specjalną łaskę zasługuje ze względu na to, że kosztuje trzecią część tego, co mięso, a jest równie jak mięso pożywna. Nakoniec przesąd został zwalczony i przynajmniej Warszawa spożywa codziennie całe wagony świeżych śledzi i klasa niezamożna widuje prawie codziennie rybę na swoim stole.

Za mało jadamy jarzyn. W codziennem, powszechnem użyciu są kartofle, buraki, kapusta, rzadka marchew, no i cebula, lecz nie jako jarzyna, lecz tylko jako przyprawa. Tymczasem właśnie cebula, szczególnie jej łagodny gatunek, zwany cukrową, nietylko jako dodatek do mięsa, lecz jako samodzielna jarzyna, ma smak wykwintny, mogący zadowolnić największego smakosza. Czy to duszona w maśle, czy nadziewana — zawsze jest wyborna. Zupełnie mało znaną jarzyną jest pasternak, wcale nie używany selerów, chyba w sałacie i to rzadko w którym domu. Nie jemy porów, które w Paryżu przez zimę całą zastępują zbyt drogie dla klasy pracującej szparagi. Kardy są nara prawie nieznanne. Szpinak jadamy przeważnie przetarty i tak wymęczony, że mało w nim właściwego smaku pozostaje, podczas gdy reszta Europy dawno go je tylko pokrajany i uduszony w maśle. Bogate w witaminy sałaty zimowe: eskarolka, cudywja, cykorja Whitloof, roszonek i selery liściaste — może dzięki swojej drożyznie — nie mogą sobie utworować drogi na stół średnio zamożnych rodzin. Z jarzyn strączkowych częściej bywa jadeny groszek i fasola, prawie wcale nie widywany bób (bober) i soczewica — obie bardzo pożywne. Kasze różne, które, umiejętnie wykorzystane, dają ogromną różnorodność dań, są w pogardzie. Conajwyżej służą za podrzędny dodatek do mięsa. Tymczasem właśnie w poście, dzięki temu, że Kościół na wszelkie rodzaje okraszy pozwala, można z nich przyrządzać różne kotlety jarskie, zrazy i klopsy, szeroko stosowane w kuchni jarskiej. Z większej części kasz można robić w połączeniu z jajami, grzybami i t. p. wyborne budyń, suflety, zapiekanki.

Grzyby suszone, marynowane, konserwowane w Wecku są niezbędną przyprawą dań postnych. Na smaku z nich — w połączeniu z włoszczyzną — gotuje się nieomal wszystkie postne zupy, z niemi robi sosal, podaje się smażone, duszone, zapiekane i t. p.

W tym roku wczesna Wielkanoc, a co za tem

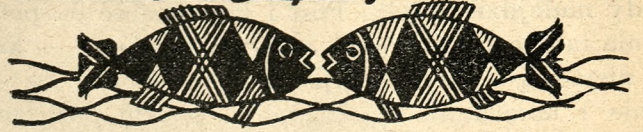
idzie, wczesny post, i wyjątkowo mroźna zima spowodowały brak jaj, których zwykła w tej porze roku obfitość pozwalała na codzienne ich stosowanie. To samo się tyczy twarogu, z którego różne leguminy i dania kolacyjne, w połączeniu z mąką, dawały dużą pomoc mało pomysłowemu gospodyniom. Bo te bardziej pomysłowe zawsze i ze wszystkim radę sobie dadzą.

Owoce suszone, już dzisiaj przeważnie krajowe, dają wyborne zupy i kompoty. W poście też znajdują największe zastosowanie zapasy czarnych jagód w butelkach, kompoty i jarzyny sterylizowane w słojach, powidła śliwkowe i marmelady owocowe, usmażone jesienią.

Jeżeli wszystko, co tu piszę, ma raczej charakter spisu artykułów spożywczych, to tylko dlatego, że chcę uprzytomnić jak czytelniczkom, tak i sobie, że właściwie, za wyjątkiem mięsa, które i w czasie zwykłym normalnie raz na dzień powinno być jedzone — wszystkie inne produkty w czasie postu stosować możemy i powinniśmy. Największy amator mięsa, największy jego zjadacz, nie mógłby się niem żywić bez dodatków jarzyn, kasz, mąki, sałat, jaj, nabiału i owoców. Dyspozycja więc obiadów czy kolacyj postnych różni się tylko tem od tychże posiłków w innych porach roku, że to jedno lub dwa dania mięsne zastępujemy rybą lub równie smacznem i posilnem daniem mącznem. Za to pozwolę sobie przypomnieć polskie racuchy, pierogi i pierniki z różnem nadzieniem i rosyjskie bliny, kulebiaki i drożdżowe pierogi. Jednem mięsem żywią się dzisiaj tylko samojedzi i eskimosi, którzy jednak oprócz mięsa cenią i ryby; człowiek cywilizowany, umiejący wykorzystać bogactwo innych artykułów spożywczych, wyborne bez mięsa sobie poradzić może.

*Pani Elżbieta.*

## Przepisy Gospodarskie



### SLEDZIE MARYNOWANE

1) Duże śledzie twardsze, o białem mięsie, wymoczyć dobrze, odrzucić łby i ogony, wyjąć z nich ości, pozostawiając na nich skórę. Przekrajać wzdłuż po linii grzbietu, potem każdy kawałek w poprzek, aby się uformowały cztery równe kawałki. Utarzać je grubo w mące i usmażyć bardzo wolno na szmalcu, fryturze lub oleju. Uważać, aby kawałki się nie rozpadły. Gdy ostygną, przełożyć do porcelanowego lub fajansowego naczynia, kładąc pomiędzy dzwonek gdzieś pieprz i ziele w ziarnach, kawałki listka i żółtą skórki cytrynowej. Zalać dobrą nicejską oliwą, przycisnąć talerzykiem i ciężarkiem. Używać najwcześniej po trzech dniach.

2) Duże śledzie, o białem mięsie, wymoczyć, odjąć łby i ogony, usunąć starannie ości, podzielić na cztery części, jak wyżej, ułożyć w porcelanowym lub szklanym naczyniu, przekładając pieprzem, zielem, listkiem, plasterkami jabłek, cytryny bez skórki i ziarn, korniszonów lub pikli. Szklanekę białego wina przegotować ze szklanką dobrego, winnego octu, ostudzić, zimną marynatą zalać śledzie, przycisnąć talerzykiem i ciężarkiem. Używać nie wcześniej, jak we dwie doby po zamarynowaniu.

3) Wymoczyć białe lub różowe, byle nie za nadto miękkie śledzie, oczyścić starannie z ości, układać całe w słoju, przekładając pieprzem, listkiem i łagodną cebulą, krajaną w cienkie plasterki. Na dwa nacie śledzi utrzyć dwie łyżki domowej musztardy z czterema łyżkami nicejskiej oliwy i pół szklanką dobrego, winnego octu. Jeśli są, dodać do tego utarte dokładnie mleczka ze śledzi. Zalać tym sosem śledzie, przycisnąć talerzem i ciężarkiem. Podawać w 48 godzin po zamarynowaniu.

4) Śledzie - uliki lub szmalcówki wymoczyć przez godzin parę tylko, wyjąć z nich jaknajstaranniej ości, nie naruszając skóry. Ułożyć w słoju, przekładając pieprzem, zielem, paru goździkami, kawałkami listka. Zalać bardzo obficie najlepszą oliwą. Po 24 godzinach już są wyborne. Stać w oliwie mogą parę tygodni; chcąc, aby się nie psuły, po wyjęciu z wody osączyć na bibule, a nawet obetrzeć do sucha ściereczką.

### BUDYŃ GRZYBOWY

Dziesięć deka młodych, suszonych grzybów ugotować na miękko, przepuścić przez maszynkę. Dwie

Każda kobieta pracująca powinna kupić książeczkę

p. t.

## „OBIADY NA MASZYNCIE“

która uczy, jak prowadzić kuchnię bez kuchni i daje praktyczne i doskonałe przepisy obiadów na każdy sezon.

**Cena 1 zł. 50 gr.**

z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysłała Administracja — Warszawa, Plac Zamkowy 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub na konto P.K.O.

T-wa Wydawniczego „Bluszczy” Nr. 13.555.

spore cebule usiekać i przesmażyć w dużej łyżce masła, dodać grzybki i jeszcze smażyć wolno minut parę. Piętnaście deka bulki rozmoczyć w mleku, odcisnąć, utrzeć dokładnie na misce, dodać grzybki, cztery żółtka, osolić, popieprzyć. Formę budyniową wysmarować masłem, wysypać tartą bułeczką. Dopiero teraz ubić pozostałe białka na sztywną pianę, zmięszać lekko z resztą masy i nappełnić tem formę. Szczelnie zamknąć pokrywą, wstawić w rondel z wrzącą wodą (powinna dochodzić do połowy formy). Gotować godzinę na parze. Z łyżki masła i łyżki mąki, zasmażonych na rumiano, ze smaku z grzybków i półkwarterka śmietany zrobić niezbyt gęsty sos, osolić go, lekko popierzyć i podać w sosjerce do budyniu.

#### HRECZANIKI Z SEREM

Pół kilo mąki hreczanej wsypać w osoloną wrzącą wodę, dodać łyżkę masła, utrzeć na gładką, gęstą papkę, ostudzić. Czterdzieści deka młodego sera lub dobrze odcisniętego twarogu utrzeć na misce z dwoma jajami, łyżeczką soli i łyżką cukru. Z ciasta hreczanego robić cienkie placki, kłaść na nie po łyżce sera, zawijać starannie, jak pierogi, lub nadając im kształt kotleta. Smażyć na bardzo rumiano na maśle lub lepiej na topionej słoninie. Podawać do nich dobrą, kwaśną śmietanę, a kto lubi, i cukier.

#### KLUSKI Z OSTRYM SEREM

Kubek mleka zagotować z łyżką masła, wsypać kubek mąki, łyżeczkę od herbaty soli, wybijać na ogniu drewnianą łyżką, aż od rondla odstanie. Po zdjęciu z ognia wyrabiać dalej, aż przestygnie. Wbić po jednym trzy jaja całe, wciąż wyrabiając ciasto. Na osolony wrzątek kłaść nieduże kluski (bardzo rosna). Półmisek ogniotrwały wysmarować grubo masłem, posypać ostrym, tartym serem, ułożyć na nim kluski. Posypać grubo tymże serem, skropić obficie masłem, wstawić na kwadrans do pieca. Gdy się uformuje ładna, rumiana skórka, wyjąć i podawać gorące na tym samym półmisku.

#### NALEŚNIKI Z SEREM

Prosta ta potrawa niezawsze dobrze bywa przyrządzana. Upiec naleśniki z dwóch jaj całych, szklanki mąki, łyżeczki od kawy soli i takiej ilości zimnej wody (nie mleka), aby się ciasto dało rozlewać bardzo cienko po patelni. Naleśniki, robione na mleku, zawsze są gorsze i mniej delikatne. Patelnię smarować kawałkiem młodej słoniny, zatkniętej na widelec. W miarę pieczenia naleśników, smarować każdy

masą surową, przygotowaną w sposób następujący. Na dwanaście, do czternastu naleśników (tyle wychodzi z dwóch jaj i szklanki mąki) utrzeć łyżką w miseczce ćwierć kilo najlepszego twarogu lub sera (dobrze odcisniętego), wbić całe jajko, włożyć łyżkę masła, pół filiżanki cukru, trochę wanilii utłuczonej lub trzy gorzkie migdały utłuczone, garstkę czarnych, drobnych rodzynek (koryntek). Wyrobić masę doskonale. Naleśniki układać dowolnie: w trójkąty, koperty lub rolki. Przed podaniem zrumienić je z obu stron na maśle, posypać cukrem z cynamonem lub wanilią i gorące podawać.

#### CIASTKA Z KASZTANAMI

Zagnieść kruche ciasto z dwudziestu deka mąki, dziesięciu deka masła, dziesięciu deka cukru-pudru i sporej łyżki śmietany. Ciastem tem, cienko rozwałkowanym, wyłożyć dziesięć foremek od babek śmietankowych i upiec w średnio gorącym piecu. Tymczasem oczyścić z wierzchniej łupiny dziesięć bardzo dużych kasztanów, ugotować je, zdjąć z nich, zanim ostygną, wewnętrzną cienką skórkę. Ciastka z foremek wyjąć, na dno każdej położyć łyżeczkę od herbaty dobrej, owocowej marmelady, najlepiej morelowej lub sliwkowej. Na tem ułożyć po kasztanie. Szklankę śmietanki gotować ze szklanką cukru, całem wanilji i łyżeczką śmietankowego masła. Gdy masa zgęstnieje, jak dobry sos śmietankowy, odstawić. Stygnącą nappełnić foremki do wierzchu. Można te ciastka podawać na zimno lub na gorąco. W ostatnim razie wsunąć je przed podaniem na pięć minut do gorącego pieca.

*Pauli Elżbieta*

## KOMPLETY HAFTU I TKACTWA ARTYSTYCZNEGO

PROWADZONE PRZEZ STAŁĄ WSPÓŁ-  
PRACOWNICZKĘ DZIAŁU  
ROBÓT W „BLUSZCZU”

INFORMACJE TELEFONICZNE  
do godz. 10-ej rano i od 3-ej do 5-ej pp.

TELEFON 273-34.



Lord Mayor's Show

W CELU uczczenia nowomianowanego nadburmistrza Londynu odbywa się corocznie w dniu 9 listopada uroczysty pochód. Tradycja ta sięga bardzo dawnych czasów—około 700 lat. Tysiączne tłumy przyglądają się temu widowisku, tworząc długi szpal. Po skończonej uroczystości tłum się rozchodzi, a większość widzów, zmęczonych wielogodzinnym wyczekiwaniem, znajduje odpoczynek i pokrzepienie w niezliczonych cukierniach, a właściwie herbariach londyńskich, powszechnie „Tea Shops” zwanych.

Widowisko jest zaiste bardzo oryginalne, nic też dziwnego, iż wzbudza ono ogólne zaciekawienie. Przed oczyma widzów przesuwa się postacie gwardzistów w purpurowych strojach, w błyszczących na piersiach pancerzach, z powiewającymi pióropuszcami, za nimi nowy nadburmistrz w ozdobnej staroświeckiej karocy, w ślad za nim nieskończona ilość pojazdów, wiozących dygnitarzy i dostojników etc.; wreszcie szereg symbolicznych wozów reprezentuje cechy, z których wiele datuje swe istnienie od lat wcześniejszych jeszcze, niż sam urząd nadburmistrza.

Na wieczornej uczcie na cześć nadburmistrza, po szeregu najwyszukanych dań mięsnych, podają na zakończenie wieczery, stosownie do przyjętych oddawna obyczajów, herbatę i „Muffins.” Crubo masłem smarowane „Muffins” są postrachem nawet dla największych żarłoków, natomiast wiedzą wszyscy dobrze, iż przy każdej okazji najodpowiedniejszym trunkiem jest filiżanka orzeźwiającej

## HERBATY LYONS'a

Herbatę Lyons'a podają we wszystkich lepszych kawiarniach i cukierniach. Herbata ta słynie w Anglii od wielu lat. Zarówno dla Was, jak i dla każdego innego kraju specjalnie i w różnych wielkościach opakowana, aby wszelkim wymaganiom zadośćuczynić.



**WŁOSÓW** WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJĄ  
**ESENCJA I MYDŁO**  
**CHINOWO-CHMIELOWE** (z „KOGUTKIEM”).  
 SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE  
 I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:  
 APTEKA A GAŚECKIEGO W WARSZAWIE, Freta 16.



**HEMOROIDY** CZOPKI  
**HEMOROIDALNE „VARICOL”**  
 USUWAJĄ BÓL, SWĘDZENIE, PIĘCZENIE I KRWA-  
 WIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYLAKI). — SPRZE-  
 DAJĄ WIĘKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY —  
 APTEKA A GAŚECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. Freta 16.  
 ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNĄ „KOGUT”



### WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocz-  
 nie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.  
 Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW  
 Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Telef. 244-75.  
 Druk: Zs. i Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Ryńska 8, tel. 244-18.



# Nasza Mównica

Marja Stagińska — Łódź

Na swoją twarz, odbitą w zwierciadle, skapaną w jaskrawych blaskach mroźnego dnia, spojrzalam i oddaliłam się krokiem równym, cichym, z zadumą na czole. Niewidzialna ręka czasu musnęła przezroczystą niegdyś skórę; oczy zapadły wgłąb, i otoczyła je sina obwódka.

Ta twarz w chłodnym blasku, odbitym od lotnych atomów śniegu, na szafirowem przezroczu lotowego nieba — to twarz nowej istoty.

Nie przeczę, iż żal mi tego, co mija; nie przeczę, że radabym rzucić na siebie jakąś mglistą osłonę, sypaną garść promieni w zapadłe oczy — jednym słowem, zatrzymać, skupić odpływającą w dal moc moją.

Dlaczego podeszłam do zwierciadła w ten dzień słoneczny, taki przeraźliwie jasny od spotęgowanych blasków śniegu i słońca? Czy była to tylko chęć badania zmian na mej twarzy, zmian, których dokonał czas? Nie, napewno nie!

Przelotna chwila pewnego roztkliwienia się nad sobą minęła tak szybko, jak minąć musiała; spojrzenie, rzucone na gładką, obojętną taflę szkła, było już tylko spojrzeniem chłodnego rachmistrza, nawskroś obiektywnem, oddzielonem niejako od istoty, której część integralną stanowiło bezsprzecznie.

Ziarno wniosku zostało wydobyte z wnętrza mózgu zimnym skalpelem rozumowania: „Przemijam, Przemijam samotnie“.

Ale nie było tu miejsca na bezwiedne wyciąganie ramion w dal, na nieuchwytnie chybotanie się ducha w takt myśli, dążących ku czemuś lub komuś dalekiemu, nie takie jest bowiem źródło odwagi kobiety nowoczesnej do znoszenia przypuszczalnej szarzyzny dnia samotnego.

Dla tej dostojnej samotności potrafiła ona znaleźć odpowiednie ramy i, zamknawszy w nich nie tylko swą materialną istotę, ale przebogaty często skarbiec intelektualny, niebylejaką treść wewnętrzną, stworzyła dokoła siebie atmosferę spokoju, często niecodzienności lub nieuchwytnego czaru.

Nie ubiegając się o męskość, stała się męską w bojowym rynsztunku gotowości do opanowania tragicznych niekiedy momentów istnienia; prostolirijna w ujmowaniu zjawisk życiowych, zdobyła wdzięk nowy, nieoczekiwany w jesiennej często dobie przekwitania: miły wdzięk wiosennej szczerości.

W pewnej fazie uświadomienia wewnętrznego kobieta nowoczesna potrafiła zdobyć się na twarde upomnienie, wygłoszone w kierunku swej kobiecości,

niegdyś spragnionej mocnej otoki ramion męskich — że oto niedobrze jest błądzić po świecie z sercem, jak harfa Fola, wiecznie rozedrganem i z wiecznem, niezaspokojonem pytaniem na ustach; że człowiek, bez względu na płeć, winien umieć odpowiedzieć sobie zawsze *sam* i w każdym wypadku życia; że *tylko taki* osobnik i *tylko wtedy* będzie prawdziwie samodzielny.

I kobieta stała się samodzielną.

Nic to, że chłostały ją fale przesądów otoczenia; że zwątpienie i smutek, jak zjawy niewidzialne, choć wyczuwane, stały na straży wielu poczynań; na smutku i cierpieniu, jak na grzbiecie spienionej fali, dusza kobiety wzniosła się ku wyżynom i chętnie na nich została.

I dokonało się — siłą wytrwałej, żelaznej pracy, tej pracy mrówczej, opartej na drobiazgach, z których przecież, jak z cząstek mozaiki, przepiękna niekiedy całość się składa — stało się, że mózg kobiety, ważący podobno tak niewiele, ogarniać począł rzeczy i zagadnienia wielkie. Wzwycajona do doceniania szczegółów, z nałogu i upodobania je cyzelując, kobieta połączyła w swych metodach pracy dwie za zwyczaj różniczkowane wartości: dalekie pole widzenia w stosunku do wykonywanej czynności i usilne wwiadywanie się w najmniejszy szczegół, jako integralną cząstkę przyszłej całości.

Tak bardzo w swym sposobie podchodzenia do spraw bytu odrębna, wiarą we własne siły uskrzydłona, kobieta uniezależniła się wreszcie od dawnych, ciasnych form współżycia z mężczyzną.

Przypatrując się obiektywnie temu nieustannemu a mozolnemu wspinaniu się na szczyty i złączonym z niem przemianom jaźni kobiecej, stwierdzić należy, że w zwycięskim pochodzie ku mgławicowym krainom piękna ducha — kobieta rzadko miała za towarzysza mężczyznę.

Niedoceniona, w wielu wypadkach źle zrozumiana, ryczałtowo i zbyt pochopnie brana w nawias z całym skarbem zdobytej wiedzy wewnętrznej, kobieta z uśmiechem wyrozumiałej wyższości podążyła naprzód, pozostawiwszy mężczyznę na padole.

Zbyt wielką wagę przypisując swym poczynom, zbyt dufny w wielowiekowe doświadczenie i stanowisko, nie docenił skwapliwej gotowości, subtelnego — bez narzucania się — współuczestnictwa w mozolnej pracy ducha, z jakimi kobieta stanąć chciała obok niego. I — dokonało się, drogą logicznego rozwoju wypadków, że samorzutnie niejako wytworzyły się w nich obojgu różne wartości intelek-

tualne i psychiczne, bez możności często zobopólnego (bez reszty) zrozumienia się na terenie jednakich zagadnień i jednakich w dobie powojennej obowiązków społecznych.

Przeciętny bowiem mężczyzna czuje się dobrze w płytkim prądzie; w godzinach, wolnych od zajęć obowiązkowych, najchętniej podąża do środowisk, gdzie myśl pełza przyziennie, a ciało trwoni swe przyrodzone piękno w trawiącym ogniu niezdrowych namiętności.

Skala duchowa zmniejsza się, praca intelektu jest dreptaniem w kieracie codzienności, przeżywaniem komunalów, jednym słowem — szablon na całej linii poczynań.

To też rzadko spotkać można jednostkę męską, której nawarstwienia intelektualne byłyby pokładami rudy złotodajnej, a płomień ducha — żagwią, rozniecającą w tajnikach kobiecego serca potężny żar uczucia.

Komórki nowoczesnej rodziny rozpadają się tak szybko, że długotrwałość stadel małżeńskich do efemeryd zaliczyć można; tarcia i nieporozumienia na podłożu wzajemnej odrębności, częstokroć wywołane brakiem kurtuazji i dobrego smaku w sposobie bycia mężczyzny, nasiąkającego tak łatwo wyziewami barów, kawiarni lub dancingu — wszystko to zniechęca nieprzeciętną kobietę do ryzykownego posunięcia, jakim jest małżeństwo.

Kobieta ostatniej doby nie dąży do tworzenia rodziny — i to jest smutne. Ale nie lęka się szarzyzny, bo na „czarną godzinę“ osamotnienia posiada źródło wielorakich zainteresowań, możność żywego współuczestnictwa w szeroko zakreślonych pracach przy odbudowie kraju, wreszcie zawsze aktualną i — aż po skon — obowiązującą konieczność pogłębiania własnych wartości duchowych.

Wysubtelnienie duszy mężczyzny, życzliwe ustosunkowanie się jego do kobiety i jej horyzontu duchowego, jej zainteresowań i ukochań; nawrót poniechanej już, jako przeżytek — szlachetnej rycerskości nawet w sprawach drobnych, jednym słowem wyhodowanie sympatycznego typu męskiego — to kwestje żywotne, aktualne i naglące.

Tak, naglące ze względu na stanowisko, jakie zajął mężczyzna, coraz częściej zmuszony bytować samotnie; ze względu na rozgoryczenie i cierpką niechęć wzajemną; wreszcie ze względu na dotkliwą szkodę, wyrządzoną społeczeństwu przez rozpadanie się instytucji, tak niezbędnej, jak rodzina.

### **Antonina Żyźniewska w odpowiedzi Łudziance.**

Uchwalenie przez Związek Naucz. Szk. Powsz. wniosku o zniesienie przymusowych praktyk religijnych w szkole, nie może być żadną miarą uważane za zdrowy odruch działalności tegoż Stow. Z jakichkolwiek bądź pobudek krok ten by pochodził, nie dowodzi bynajmniej pogłębienia zasad pedagogicznych

i podniesienia ich poziomu. Bo praktyki religijne w szkole zanadto doniosłe mają znaczenie wychowawcze, by je z lekkim sercem odrzucić.

Przypatrzmy się pokrótce bliżej tym obowiązkom: — W zakres ich w szkole wchodzi: uczęszczanie na Mszę św. i egzortę w niedzielę i święta, trzykrotną w ciągu roku szkolnego spowiedź wraz z Komunią Św., oraz rekolekcje wielkopostne.

Tyle wszystkiego. Niewiele to.

Jeżeli wierzymy, że Chrystus powiedział: „Nie samym chlebem żyje człowiek, a wszelkiem słowem, które z ust Bożych pochodzi“, to jakimże prawem chcemy odbierać dzieciom naszym sposobność słuchania słowa Bożego, czerpania ze źródeł czystych Prawdy Wiekuistej, oczyszczania i doskonalenia ducha, zasilania się Chlebem Żywota? Jakiem prawem odbierzemy dzieciom naszym możność, choćby przymusową, wejścia od czasu do czasu, w siebie samych, skupienia i zajrzenia w głąb duszy, do czego właśnie służy spowiedź? I gdyby ona nawet nie była Sakramentem, jak poucza katechizm, a tylko aktem samodoskonalenia się, to jużby wystarczyło, by ją zatrzymać wśród praktyk religijnych, jako potężny środek wychowawczy.

A rozważania wielkanocne?

Jeżeli wolno i należy odnawiać pamiątki wielkich zdarzeń historycznych, o znaczeniu kulturalnym czy patriotycznym, w czem przymusowo uczestniczy młodzież szkolna, to dlaczego tylko odnawianie w pamięci i sercach młodzieży — wielkich i świętych zdarzeń z dzieła odkupienia — miałyby być usunięciem ze szkoły?

Dlaczego młodzież dziś na wszystko czas znaleźć musi, a więc na naukę przeróżnych przedmiotów, sporty, wycieczki, zabawy, obchody, tygodnie propagandy, akcję samorządową w klasie etc. etc.? Jedne tylko praktyki religijne mają być usunięte z programu, jako coś bezwartościowego i zbędnego?

Jeżeli wolno nam szerzyć kult ciała w znaczeniu zdrowego wychowania fizycznego, nie wolno nam pod żadnym warunkiem zaniedbać kultu ducha, a temsamem usunąć ze szkoły praktyk religijnych, będących jednym z najpiękniejszych przejawów tego kultu.

A więc nie znosić dotychczasowy przymus, a wprowadzić tylko pewne ograniczenia, ze względów czysto humanitarnych. Mianowicie: w miesiącach zimowych, wobec coraz bardziej zaostrego klimatu, oraz niewystarczającego zaopatrzenia na zimę w ciepłą odzież i obuwie dzieci ubogich, znieść przymus uczestniczenia w nabożeństwie, o ile ono nie odbywa się w kaplicy szkolnej, ogrzanej, lub ma miejsce w kościele bardzo oddalonym od miejsca zamieszkania danego ucznia.

I jeszcze jedno. Argument, że przymus obniża wartość dobrych uczynków, jest dość nikły i błąd. Od wychowawców domowych i szkolnych zależy w pierwszym rzędzie, by młodzież nie pod rygiem kary, lecz z potrzeby serca brała chętny udział w praktykach religijnych.

A zresztą, bądźmy szczerzy. Czyż, biorąc rzecz głębiej, możemy zaprzeczyć, że ogół obowiązków ży-

ciowych spełniamy my, dorośli i dojrzały pod przy-  
musem bądź fizycznym, bądź moralnym? A prawo-  
dawstwo ludzkie i zakon boży, wyrażony tak potęż-  
nie w dekalogu, czyż nie nakłada wędzidła na tę niż-  
szą część naszej istoty? A więc jest poniekąd przy-  
musem. A przecież nikomu z nas nawet na myśl nie  
przyjdzie znieść jedno lub drugie.

### **Częstochowianka w odpowiedzi p. Władysławie S.**

Oczywistą rzeczą jest, że zorganizowanie gospo-  
darstwa kobiecego zgodnie z teorią Taylora byłoby  
błogosławieństwem dla pań domu i przewrotem dla  
stosunków obecnych, ze wszech miar zresztą pożą-  
danym. Jest jedna zła strona taylorizmu, co tak ja-  
sno p. Władysława S. zaznaczyła — wymaga on du-  
żych wkładów pieniężnych, niedostępnych dla średnio  
zamożnych, a cóż już mówić o biedocie, jaka wśród  
sfery inteligencji przeważa. Fabryki, urzędy, zakłady  
przemysłowe nie żałują środków dla naukowej orga-  
nizacji pracy, gdyż liczą na szybką amortyzację wsku-  
tek zwiększonej wydajności pracy. W gospodarstwie  
domowym wkłady nie mogą się tak szybko amorty-  
zować, no i amortyzują się w innej, a nie materialnej  
sferze, przytem, jak już wspomniałam, niema wprost  
środków na owe ulepszenia. Czyż dlatego biedni mu-  
szą, jak zawsze tak i w tym wypadku, padać ofiarą  
swej biedy i wyrzec się kulturalnego życia, udziału  
w zdobyczach epoki i zadośćuczynienia jej wymaga-  
niom? Sądzę, że nie.

I sądzą, że sławne gospodynie dawnych czasów  
bez wewnętrznych telefonów, rozsuwanych drzwi,  
ukrytych stolików, etażerek (jak to opisuje R. C. H.  
w „Kobiecie w Świecie i w Domu“), bez luksusowych  
urządzeń w kuchni, miały dom zorganizowany mą-  
drze, choć może nie „naukowo“ i nie były tak znów  
bardzo dalekie taylorowskiej teorii.

Pierwszą zasadą jest myśleć. Obmyśleć stopę,  
na jakiej dom ma być prowadzony, obmyśleć rozkład  
robót na cały rok, na jeden miesiąc i poprzedniego  
dnia plan jednego jutra. Rozgraniczyć pracę swoją i  
pracę służącej. Rozporządzenia wydawać nie doryw-  
czo, a planowo. Nie posyłać służącej kilka, czy kilka-  
naście razy do sklepików, a obmyśliwszy wieczorem,  
co jeść podamy następnego dnia domownikom, od-  
razu kazać przynieść brakujące rzeczy. Służącej od  
roboty nie odrywać dla celów błahych, ale też nie  
uważać jej czasu za „święty“, co się na tem kończy,  
że wszelkie „odrywanie się“ do drobnych posług skru-  
pia się na pani.

Dla dobrej organizacji koniecznym jest wzoro-  
wy porządek. Dla utrzymania zaś porządku konieczną  
jest odpowiednia ilość takich mebli, jak szafy, biurka,  
etażerki. I to już jest zbytek, na jaki pozwolić sobie  
musimy, pod grozą wyrzeczenia się porządku i trace-  
nia czasu na wieczne szukanie.

Piętą Achillesa są klucze, które ciągle giną.  
Niech będzie zamknięte, co zamkniętem być powinno,

więc bielizna, pieniądze, papiery. A klucze, o ile nie  
są z właścicielką na ulicy, mogą stale wisieć przy zam-  
ku najczęściej odwiedzanej np. szafy. Po co zamykać  
talerze, igły i nici i t. d.?

Ważnem dla oszczędności czasu jest posegrego-  
wanie przedmiotów co do ich użytku. Osobiście mam  
np. jedną szufladę mego biurka (bardzo nie po kobie-  
cemu, ale praktycznie) przeznaczoną na młotek, ob-  
cążki, gwoździe; drugą na „mydlarnię“ z mydłem,  
świecami, sznurkiem; trzecią na różne przedmioty co-  
dziennego użytku, jak grzebienie (nie mam tualety),  
czwartą na pieniądze i książki: rachunkową i adre-  
sową, gdzie wrzucam również listy otrzymane przed  
ich załatwieniem. Resztę szuflad wypełniają papiery,  
posegregowane też wedle ich treści. Jak mi zatem  
czegoś potrzeba, wiem, w której szufladzie szukać.

Niejedna gospodyni umiałaby utrzymać wzoro-  
wy porządek, gdyby... była w domu sama. Wielką i  
nieocenioną rzeczą jest wdrożenie całego otoczenia do  
pielęgnowania ładu domowego. To jest może najtru-  
dniejsze. A już najtrudniej przyzwycząić do tego słu-  
żącą, tę naszą służącą b. Kongresówki czy Małopel-  
ski. Myślę, że w imię własnego dobra należy wprost  
zębę zacisnąć, uzbroić się w cierpliwość i łagodnie,  
ale bezwzględnie stanowczo uczyć ją swych wyma-  
gań. Jeśli wcześniej nie ucieknie, to się wyuczy i może  
przez to pani domu zyska prawdziwą pomoc, a ogół  
wzbogaci się w zastęp służących „do wszystkiego“,  
na miejsce popychadeł do niczego. Bo my je przecież  
wychowujemy.

I jeszcze raz podkreślę konieczność myślenia.  
Jeżeli idę do kuchni, to powinnam załatwić wiele  
spraw, żeby za chwilę nie wracać po raz drugi. Gdy  
służąca przychodzi podczas obiadu po talerze od zu-  
py, niech weźmie z kuchni drugie danie, postawi na  
kredensie, zanim talerzy nie zbierze. A może odrazu  
zabierze papier od paczki, przyniesionej z miasta...  
Boć przecież każda z pań się zgodzi, że najbardziej  
się męczą „krętaniną“ po mieszkaniu i najwięcej ona  
zabiera czasu. A na nią jedyna rada — to myślenie  
o tem, co się robi i co jeszcze jest do zrobienia. Kto  
ma pieniądze, niech czyni inwestycje potrzebne i róż-  
ne „wymysły“ naukowe, które naprawdę życie ko-  
biety mogą uczynić piękniejszym. Kto ich nie ma,  
niech zaprzęgnie do pracy to, co nie kosztuje:  
myśl i wytrwałość. Inaczej życie kobiety staje się  
stosem ofiarnym za sprawę o wątpliwej wartości.

I jeszcze jedna uwaga, dotycząca podstaw nie-  
powodzeń taylorizmu. Jest to dziedzina psychologii:  
kobieta jest z natury pracowita i trudno jej się wy-  
rzec ciągłego „dreptania“. I jest w tem może coś ta-  
kiego, jak... obawa przed wolnym czasem. To często  
jest podświadome. Jest w tem pewna doza lęku: co  
ja będę robiła, gdy połowa pracy mi odpadnie?  
A przecież tyle jest do zrobienia...

Niech zasada Taylora: stosunkowo jaknajmniej-  
szym wysiłkiem zyskiwać jaknajwiększy efekt, sta-  
nie się żywą zasadą gospodarki kobiecej, a nie będzie-  
my mieli tych przepracowanych i zniechęconych do  
życia kobiet, a utworzy się zastęp mądrze pracują-

cych, wesołych, mających czas na kuchnię i na gości i na teatr, i na pracę społeczną, prawdziwie młodych, bo intensywnie wszechstronnie żyjących ludzi rodzaju żeńskiego.

## **P. Seweryna Dzieciołowska — Wejherowo — W odpowiedzi p. H. Spoczyńskiej.**

P. Helena Spoczyńska z Królewskiej Huty, poruszyła bolączkę społeczeństwa naszego — (bo nietylko kobiecą) kłamstwa, obludy, nieszczerości i nieprawdomówności. Listem swoim otworzyła pole do wypowiedzania się, i pragnie tego. Ucieszyło mię śmiałe poruszenie tej kwestji. Wypowiadajmy się, omawiajmy tę sprawę, a może lekarstwo się znajdzie. Idzie nam w danej chwili o kobietę, żeby ona i tu była inicjatorką, pionierką w zwalczaniu zła; tembardziej że jako wychowawczynie w domu czy szkole, ma możność od korzenia wyrwać te chwasty, naprawdę utrudniające współżycie, a wyrastające już w dzieciach, nie wiedzieć skąd.

Mam wrażenie, iż jeśli chodzić nam będzie o skutki praktyczne podniesionych zagadnień, to lepiej nie uderzajmy w struny zamierzchłej przeszłości, (atawistycznej), nią się zasłaniając — a uderzmy w silny dzwon — *woli naszej*. Autorka listu ma zupełną słuszność, wołając na alarm, — jest źle.

Kłamiemy na każdym kroku, przy każdej okazji, czasem bezwiednie... tak dalece kłamstwo zrosło się z nami. Uczymy kłamać służące, dzieci: „powiedz, że niema mnie w domu“ jest na porządku dziennym, dla przyczyn często błahych — dla dogodzenia nieusposobieniu, lub nastrojowi. A ileż razy dziecko słyszy, jak matka okłamuje ojca, czy w rachunkach, cenach, „zrobiłam“ lub „nie zrobiłam“ — albo zabawiając gości... a wszystko dla tego, żeby wydać się lepszą.

Idąc po nitce kłamstw, zawsze dojdziemy do kłębka — *miłości własnej*, lub obrony tejże. Odkrywając karty, robię krok naprzód, ułatwiając definicję myśli Pitagorasa: „poznaj samego siebie“. Tu rdzeń złego.

Przynależną jest miłość własna naturze ludzkiej, kiedy powiedziano: „Miłuj bliźniego — jak siebie samego“ — a jednak kiedy pozwolimy jej nadmiernie wyrosnąć, stajemy się egoistami z samochwalstwem lub co gorzej, z kłamstwem na ustach.

Prawda w życiu — jest ciężką, dla wręcz przeciwnych pobudek: *zaparcia się siebie*. Nie jest to tak łatwą rzeczą przyznać się do swej słabości, nieuctwa, czy do popełnionego czynu, czy kłamstwa. Ukochanie prawdy tylko dodać nam może siły.

Bo czy kłamstwo jest chociaż praktyczne, czy dodaje uroku życiu?

Powiedziałabym: „wesoły początek — lecz koniec żaloszny“.

Jeżeli ciężkie jest współżycie z osobami, które otaczają się tajemniczością, niedomówieniami (wtenczas kłamstwo, choć niewidoczne — wibruje w po-

wietrzu), o ileż cięższe jest z kłamcami! Jeśli ktoś choćby raz nam skłamię, to tak dalece tracimy do niego zaufanie, że zawsze mu niedowierzać będziemy. Więc i niepraktyczną jest ta droga. Choć w pierwszej chwili niby ułatwia życie, w gruncie rzeczy gmatwa je, podrywając również powagę stosunków z ludźmi.

Są kobiety, lubiące fantazjować w opowiadaniu, przesadzać fakty (mówiąc nawiasem, zawsze z korzyścią dla własnego ja). Jest to *niedokładność w mowie*, której wystrzegać się powinniśmy, jako odchylenia od bezwzględnej prawdy. Zasadniczo są to kłamstwa, tylko że tak powiem — w lepszym stylu, bo nie szkodzą drugim, niepokoją jednak drażliwsze sumienia. Że już nawet nie mówię o kłamstwach z krzywdą bliźniego, te graniczą już z podłością. Mam na myśli jedynie kłamstwa powszednie, codzienne, niedokładności w mowie — które jednak trzebić w sobie należy.

My, kobiety ewolucyjne, które mamy przyłożyć cegiełki do odbudowy ojczyzny naszej, weźmy sobie za zadanie zawsze i wszędzie być „prawdziwe“, nie tając swych ułomności czy słabości, a jeżeli to za ciężkie, to chociaż nie przykrywając ich cudzemi lub urojonemi — piórkami.. Boć wiadomo, że niema na świecie człowieka „doskonałego“ — ja mam te niedoskonałości czy wady — ty masz inne. Raz stańmy oko w oko z Prawdą, ewolucja nasza tu weźmie początek. Pierwsze kroki najcięższe, to wiadomo — praca to jednak wdzięczna, staniemy się naprawdę takimi, za jakie dziś chcemy tylko uchodzić.

A teraz parę słów o szczerości. Szczerość jest antytezą kłamstwa, i jako taka powinna być przez nas ceniona i upragniona. Nigdy za dużo szczerości w stosunkach wzajemnych — łatwo ją jednak przekroczyć, jeżeli nie jest kierowana taktem i delikatnością, choćby dla zasady: „Nie czyn tego drugiemu, co tobie nie miło“. Sobie możemy i musimy mówić prawdę, ostrożne bądźmy w mówieniu jej drugim, bo to boli a korzyści nie daje — pamiętajmy, że rany leczyć może tylko kochająca ręka.

Nieraz bez złej woli robimy przykrość swoją zbytnią szczerością, której źródło zdaje mi się nie jest w niej samej, tylko w *gadaliwości* kobiet. Gadaliwość jest naszą plagą, nie opanowujemy przez to potoku słów, które płyną... płyną... jak woda w strumyku. — A rezultaty? Zawsze ujemne.

Chciałam jeszcze powiedzieć parę słów o *otwartości* w stosunku do *szczerości*, gdyż w potocznej mowie używamy tych określeń jako synonimów. W rzeczywistości tak nie jest — szczerą powinnam być, otwartą mogę nie być. Uważałabym otwartość za klapę bezpieczeństwa dla nieszczerości. Przecież nie ze wszystkimi mogę być otwartą, a niechcąc skłamać — nic nie mówię, nie jestem otwartą — a jeżeli już mówię, to nie kłamię, jestem szczerą.

Reasumuję: Otwartą można nie być. Szczerą trzeba być.

A więc droga do mówienia prawdy zdaje się łatwa i prosta... i o ileż z nią byłoby weselej żyć na świecie! —